Cena 10 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 14 stycznia 1947 r. Nr 2 (71)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Tradycjonalizm opiera się na filozofii wybitnie pesymistycznej, która stwierdza konieczność przymusu, socjalizm na filozofii optymistycznej, która pokłada swe nadzieje w wartości organizacyjnej rozumu ludzkiego".

G. Pirou

TREŚĆ NUMERU:

KAZIMIERZ BRANDYS — PAWEŁ HERTZ — **DIALOGI PARYSKIE (II)**

JÓZEF SIERADZKI — **DROGA DO POSTĘPU**

ANDRZEJ STAWAR — **TADEUSZ ŻELEŃSKI - BOY** (IV)

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA — **WIERSZE**

WŁODZIMIERZ SOKORSKI — **O DEMOKRATYZACJĘ WYŻSZYCH UCZELNI**

JAN ALEKSANDER KRÓL — **LUDOWE DZIŚ MOŻE BYĆ TO, CO NARODOWE**

STEFAN LITAUER — **SYTUACJA ŚWIATA PRACY W AMERYCE PO OSTATNICH WYBORACH**

ELSA TRIOLET — **PIERWSZY KONTAKT**

RYSZARD MATUSZEWSKI — **O POEZJI CZESŁAWA MIŁOSZA**

SEWERYN POLLAK — **POLONICA POETYCKIE PO ROSYJSKU**

KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

KAZIMIERZ BRANDYS i PAWEŁ HERTZ

DIALOGI PARYSKIE (II)

Kino koło placu Opery. Wielki afisz reklamowy film Jeana Renoir „La grande illusion" („Wielkie złudzenie"). Na afiszu napis: „Wszyscy demokraci świata powinni obejrzeć ten film! Franklin D. Roosevelt".

Cudzoziemiec I: Czy nie miałbyś ochoty obejrzeć tego filmu? Jako dobry demokrata?

Cudzoziemiec II: — „Wielkie złudzenie".. Pamiętam ten film sprzed wojny. Nie przypominam sobie tylko dokładnie gdzie go wyświetlano. W każdym razie w którymś z wielkich kin śródmieścia. Moja towarzyszka płakała. Podobno Francuzki tu też płaczą. Wolałbym tego filmu teraz nie oglądać. „Wielkie złudzenie"... Obawiam się, że dowiemy się tutaj czegoś nowego, co nie będzie dla nas przyjemne.

Cudzoziemiec I: Właśnie dlatego chodźmy! Jednym z niewielu naszych obowiązków jest dowiadywanie się o rzeczach nieprzyjemnych i zastanawianie się: dlaczego są nieprzyjemne. Jedną z rzeczy bardziej nieprzyjemnych był dla mnie przejazd przez zburzone Niemcy. Gdy wjeżdżałem po sześciu latach na terytorium tego kraju wydało mi się, że widok ruin niemieckich powetuje mi widok ruin w moim własnym kraju. Okazało się, że zniszczona fabryka, czy spalona uczelnia jest zawsze widokiem nieprzyjemnym dla człowieka, który zdaje sobie sprawę, że każda fabryka może pracować dla postępu i każda uczelnia dla prawdziwej wiedzy.

Cudzoziemiec II: Każda — ale nie w każdych warunkach. Przez sześć lat niemieckie fabryki i niemieckie uczelnie pracowały na zgubę postępu i kultury. To znów jedna z rzeczy nieprzyjemnych, ale niestety prawdziwych. Jesteśmy Europejczykami. Zniszczone Monachium nie może w nas wywołać innych uczuć prócz uczucia przykrości. Ale Europa sama musiała niszczyć własne dobro.

Cudzoziemiec I: Niestety, masz rację! Ostatnie dwudziestolecie w obawie przed koniecznością zbudowania nowych fundamentów pod swoje wiszące ogrody, pozwoliło, by dawne spróchniały docna. Cała ta kunsztowna budowla, podpierana przez ewolucjonistów i poczciwych liberałów, musiała się zwalić. Pomieszały się w tej ruinie rzeczy dobre i złe. Te dobre należy dziś wygrzebać starannie z gruzów. Jeszcze się nam przydadzą!

Cudzoziemiec II: Słysząc takie zdania czuję się jak we mgle. Dlaczego nie mówisz wyraźnie? Zło polega na wadliwym podziale dóbr. Dobro pomieszane ze złem — to nawet ładnie brzmi. Ale nie wiem co to znaczy. Zburzona fabryka jest widokiem przykrym, zgoda! Ale dla mnie ten przykry widok jest logiczną konsekwencją równie przykrego stanu rzeczy w przeszłości. Czemu służyła ta fabryka? Kulturze? Nie! Europie? Nie! Narodowi? Nie! Służyła celom grupy ludzi, którym uległy Niemcy. Gdyby ta fabryka była własnością społeczeństwa, nie zostałaby zniszczona. Nie wierzę, żeby mogło istnieć społeczeństwo, które zechciałoby skierować swoje warsztaty przeciwko reszcie świata.

Cudzoziemiec I: Teraz znów ty mówisz jak na wiecu i ja przestaję dla odmiany rozumieć sens zdań. Wybiegasz z programem polityczno - społecznym tam, gdzie ja proponowałem tylko drobną poprawkę w rozumowaniu. Po prostu: dwudziestolecie triumfującego kapitału finansowego w wyniku swoich zawiłych sprzeczności dało nam rzeczy złe i dobre: dało nam faszyzm we Włoszech i w Niemczech i wzmożone poczucie świadomości społecznej i politycznej u intelektualistów, którzy musieli te kraje opuścić; dało nam Franca w Hiszpanii i w wyniku wieloletniej wojny system demokracji ludowych w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. W literaturze w tych latach dwudziestu osiągnięto bardzo wysoki poziom formalny przy całkowitej nieraz atrofii ludzkich treści w malarstwie rozłożono przedmiot na części, ale jednocześnie ograniczono zakres przedmiotów godnych malowania. Obrazy i książki tego czasu, które na przekór sobie jeszcze kochamy, są jak szkielety w pięknych strojach. To co mówiłem o wyszukiwaniu rzeczy dobrych wśród złych, znaczy tylko tyle, by w pogardzie dla europejskiego dwudziestolecia nie odpychać również niewątpliwych zdobyczy — zwłaszcza w sztuce.

Cudzoziemiec II: Gdyby w roku 1918 lub 1920 powiodła się rewolucja w Niemczech, gdyby jej nie stłumili junkrzy, Europa nie zaznałaby tego, co określaliśmy jako „czasy pogardy". Faszyzm włoski czy hitleryzm niemiecki nie mogłyby istnieć. Te zalety naszego dwudziestolecia o jakich mówisz znalazłyby swój wyraz: inny, pewnie świetniejszy, na pewno bardziej ludzki. Obeszłoby się bez zniszczenia fabryk, bibliotek, muzeów. Możesz uznać to za proroctwo, ale będę bronił logiki tego proroctwa. Procesy historyczne mają tylko kierunek nieodmienny; ich przebieg, następstwo i kolejność faktów, szybkość ich realizacji zależą niejednokrotnie od przypadku, który mógł być taki lub inny. Socjalizacja społeczeństw europejskich nie może być przypadkiem — to jest kierunek. Opóźnienie tego procesu — faszyzm, hitleryzm, mieszczańska demokracja, chrześcijański solidaryzm mogą wstrzymać, ale nigdy przeszkodzić siłom historii, naturalnym prawom ciążenia.

Cudzoziemiec I: Nie zamierzam licytować się z tobą, kto z nas jest „dobrym demokratą" — ty czy ja. Myślę, że obaj mamy swoje miejsce w tych latach wielkich zmian. Oczywiście — nikt rozsądny nie zaprzeczy temu, co nazywasz naturalnymi prawami ciążenia. Prawa rządzące społeczeństwem ludzkim przestały być dla nas tajemnicą i nie nadajemy im już atrybutów boskich. Rozwój form życia ekonomicznego na ziemi w pierwszej połowie XX wieku i to, jakie z tego należy wyciągnąć konsekwencje, rozumiem równie dobrze jak gwałtowny ich rozwój w końcu XVIII wieku i Rewolucję Francuską. Nie lękam się przemian, tak jak nie lękam się pioruna po błyskawicy. Chciałbym tylko by w wielkiej przeprowadzce z jednego systemu gospodarczego do drugiego, doskonalszego i bardziej sprzyjającego rozwojowi człowieka, nie zgubić tych rzeczy, które mogłyby nam służyć również na nowym mieszkaniu.

Cudzoziemiec II: Wiem. Rzeczy sztuki, moralność, etyka, imponderabilia jednym słowem. Nie obawiaj się. Nigdy nie gubi się ich po drodze. Powiem ci więcej: to one raczej sprawiają, że konieczność przeprowadzki staje się tak oczywista. Nagromadziliśmy ich tyle, że nie mieszczą się już w dawnym mieszkaniu.

Cudzoziemiec I: Jeśli jesteś tego pewien... Więc chodźmy na „Wielkie złudzenie". Zobaczymy imponderabilia, których bronili nasi starsi bracia po tamtej wojnie.

Widownia wielkiego kinoteatru. Na ekranie — dzieje ucieczki francuskich jeńców z niemieckiego obozu w czasie wojny 1914—1918 roku. Typy: szlachetny junkier, poczciwy niemiecki feldfebel, humanitarna Gretchen, która udziela schronienia dwum francuskim żołnierzom. Jeden z nich jest Żydem. Konkluzja filmu: wojna jest wielkim nieporozumieniem. Ludzie są z natury dobrzy. Nie ma między nimi żadnych istotnych różnic ani sprzeczności.

Cudzoziemiec II: No cóż? Po obejrzeniu tego filmu powinieneś być zaspokojony w swoim klerkowskim humanitaryzmie. Na kilku metrach kwadratowych płótna pokazano ci wszystkie iluzje i imponderabilia w które świat wierzył aż do spalenia Reichstagu.

Cudzoziemiec I: Bardzo optymistyczne zdanie! Niestety, wydaje mi się, że wierzył w nie również i po spaleniu Reichstagu.

Cudzoziemiec II: Widzę, że się rozwi[illegible]

Cudzoziemiec I: To raczej wypadki się rozwijają i to tak szybko, że trudno się czasem nie dziwić.

Cudzoziemiec II: Naszym obowiązkiem jest nie dziwić się za późno.

Cudzoziemiec I: Spróbujmy uporządkować powody mojego zdziwienia. W końcu to do czego dojdziemy będzie konkluzją każdego rozsądnego inteligenta naszej epoki. Według mnie ten film jest jakby przeznaczony dla klerków, którzy „nie zdradzili", dla tych, którym się zdaje, że można będzie trwać na najwygodniejszych pozycjach, jak gdyby odstępstwo od tych pozycji mogło być zdradą. W ilu wypadkach porzucenie neutralitetu na rzecz walki ideologicznej było najtrudniejszą i najszlachetniejszą ofiarą!

Cudzoziemiec II: W oczach Pawła Moranda postawa Pawła Eluarda, który wybrał w czasie walki — walkę, była niewątpliwą zdradą. Ale Marand — klerk, który rzekomo pozostał wierny, doszedł po tej drodze do kolaboracjonizmu. Eluard mimo rzekomej „zdrady" klerkowskich ideałów, nie przestał być wielkim poetą i wierzymy jego słowom. Morand, jeśli pozostał dla nas nawet błyskotliwym stylistą, to któż jeszcze dziś zechce go słuchać, kto mu uwierzy?

Cudzoziemiec I: Nie ma i nie będzie takiej sytuacji w której człowiek mógłby odseparować swoją świadomość od obowiązków jakie nakłada na niego czas, w którym żyje. Jeśli się od tych obowiązków odgradza, to nie czyni tego na pewno bez powodu. Nie ufam tym powodom.

Cudzoziemiec II: Pomyśl, że w trzydzieści lat od chwili, gdy dzieje się akcja tego filmu, któryśmy przed chwilą widzieli, wszyscy jego bohaterowie musieli zdradzić. Niemka nie przechowa już francuskiego zbiega, junkier z Wehrmachtu nie złoży kwiatów na grobie nieprzyjacielskiego lotnika. Wtedy w 1916 r. było możliwe. Było możliwe, że francuscy i niemieccy żołnierze, z chwilą gdy milkła artyleria, częstowali się wzajemnie na polu bitwy angielskimi papierosami. Pod Stalingradem Niemcy z Rosjanami nie palili papierosów. Ta etykieta dżentelmenów nie była możliwa tam, gdzie istniała przepaść dwóch ideologii.

Cudzoziemiec I: Tak, tej przepaści nie było pod Verdun. Co dzieliło Francuzów i Niemców w tamtej wojnie? Polityka gabinetów i rozkazy dowódców. To za mało, by przeciętny żołnierz, czy inteligentny oficer mógł uwierzyć w świętość sprawy. Tamta wojna to była tylko bitwa o nową mapę świata. Pod Stalingradem toczyła się już inna bitwa: o to, jaki ma być ten nowy świat.

Cudzoziemiec II: W tym świetle film, któryśmy widzieli jest pomyłką tylko wobec przyszłości. W przeszłości łudzono się, że nie będzie innych różnic między ludźmi prócz różnicy koloru mundurów.

Cudzoziemiec I: Myślę, że dziś jeszcze wielu w to wierzy. Czy słyszałeś w kuluarach Luksemburga o projekcie Stanów Zjednoczonych Europy?

Cudzoziemiec II: Słyszałem. Ale wiesz, że od pewnego czasu sprawy w świecie tak się paradoksalnie układają, że ilekroć pada hasło: „Europa", czuję w tym jakiś wąski i ciemny polityczny interes i wiem, że trzeba będzie się bronić.

Dwaj cudzoziemcy zatrzymują się przed afiszem reklamowym filmu „Wielkie złudzenie". Widać wielki napis: „Wszyscy demokraci świata powinni zobaczyć ten film. Franklin Delano Roosevelt".

Cudzoziemiec I: Tak, to prawda. Wszyscy demokraci świata powinni zobaczyć ten film. Ale tylko po to, aby zrozumieć że w walce, która ich czeka, nie mogą się spodziewać od przeciwnika ani jednego z tych gestów, jakie reżyser pokazał nam w swoim filmie.

Tu dwaj cudzoziemcy zmieszali się z tłumem przechodniów. Straciliśmy ich z oczu.

JÓZEF SIERADZKI

DROGA DO POSTĘPU

W NASZYM pokoleniu, które widziało ruinę państw, gdy upadały stare monarchie, ulegały zachwianiu uświęcone prawdy, ustalone pojęcia i normy, gdy mieszkaniec Europy wschodniej przeżył dwie wielkie i kilka mniejszych wojen — ludzie obdarzeni nerwem społecznym i politycznym posiadają niejednokrotnie cechy obce ludziom np. epoki wiktoriańskiej, gdy przemiany odbywały się wolno, na obraz stojącej wody, a stabilizacja polityczna sprzyjała przykładnemu pędzeniu życia. Kończyło się ono u syna pod znakiem takich idei, jakimi żył ojciec.

Było tak w społeczeństwach, które cieszyły się niepodległością. U nas w Polsce było i wtedy inaczej. Stąd u nas w 19-tym wieku uderza zjawisko zmiany poglądów u ludzi, i to w bardzo nieraz jaskrawy sposób. Wystarczy przypomnieć Waleriana Kalinkę, który z radykała wyrósł na filar zachowawczego kierunku i szkoły historycznej, albo Franciszka Smolkę, wpierw spiskowca (Hochverraeter), potem ekscelencję w monarchii austriacko - węgierskiej, albo margrabiego Wielopolskiego. W roku 1830 uczestniczył w powstaniu, a o pokolenie później swym bezwzględnym kursem wywołał wybuch powstania.

Ludzie zmieniali nie tylko poglądy społeczne. Zachwianiu ulegał nawet stosunek do intymniejszych wiele — i podówczas i później — zagadnień ogólnonarodowych. Pod ostrą lupą ujawnią się, jak wiadomo, skazy na obrazie Stanisława Staszyca, Hugona Kołłątaja, Maurycego Mochnackiego, Wiktora Heltmana. Nawet w życiu Kościuszki doszukiwano się przyćmionych chwil, a tacy jak Zygmunt Miłkowski, nieprzejednani i uparci, byli zawsze w mniejszości. Kto wie, czy nie mieli nad nimi przewagi liczebnej Zajączkowie i Pelikanowie.

Cóż dopiero w naszym pokoleniu.

Polski inteligent nie miał ułatwionej drogi do postępu. W latach 1920 bywało, że profesor uniwersytetu przychodził w dniu 1 maja do lokalu swego seminarium i konstatował z zadowoleniem, że wszyscy studenci stawili się do pracy, choć ten i ów z czerwoną kokardką w butonierce. Socjalista był niemal na towarzyskim indeksie. Marksista w nauce historycznej — nie do pomyślenia. Kto zdobywał ostrogi naukowe, nie mógł wdawać się w tak niebezpieczne teorie społeczne i nieprzyzwoite teorie naukowe.

Za to karmiono solidaryzmem społecznym, a ludzie postępowi zachwycali się Gide'm. W „Dziejach gospodarczych Polski przedrozbiorowej" Rutkowskiego (bardzo wartościowej i jedynej u nas syntezie) ruchy społeczne są pojęciem nieznanym, rzeczą nie z tego świata. Rozbudzone zainteresowania dla badań historyczno - gospodarczych i historyczno-społecznych skłaniały profesurę we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Poznaniu do kierowania studentów historii w stronę socjologii, statystyki, prawa ustrojowego, historii doktryn politycznych, lecz ekonomię polityczną traktowano od niechcenia. nie przywiązując wagi do teoretycznych podstaw. Stąd pochodziło, że zdolniejsi studenci pisali rozprawy o targowiskach, pieniądzu, obrocie ziemią, nawet o reklinacji tj. wyłapywaniu i zawracaniu na gospodarstwo zbiegłych kmieci — ale w dziedzinie ekonomii studiujący pozostawali laikami lub niedoukami.

Należało iść z wiatrem, a nie pod wiatr. Ta tajemnica powodzenia w naukowej karierze, zdobywana wcześnie, kształtowała nie tylko tezy naukowe, lecz charaktery. Zresztą urok umysłów i nazwisk, ozdobionych tytułami naukowymi, autorytet błyszczących honorami szafarzy łask, działały jak forma maksymalnego ucisku. Można było nie zostać asystentem, lub przestać nim być. Można było nie dostać stypendium naukowego. Można było nie wyjechać za granicę do Francji, Niemiec lub Anglii. Można było zamiast uprawiać dalej badania nad Gallem czy bullą gnieźnieńską — pójść na wyrobnictwo do szkoły, by najczęściej raz na zawsze pożegnać się z warsztatem naukowym. Dla społecznego radykała nie było zresztą i tam miejsca.

Nie było go nigdzie.

Niektórzy spośród nas znali jednak potrochu Marksa .Ciekawość pchała nawet w stronę Lenina. Lecz broszurkowa postać wiedzy powściągała zaufanie, a siła indeksu i cenzury była rozstrzygająca. Zdrowy rozum pociągał jednak ku konstrukcji, o której dziś myślę, że jest najlepszą ze znanych teorii, a przepuszczona przez zamknięte szczelnie do dziś okna naszych seminariów i pracowni naukowych, obiecuje renesans nauki i jej pełny rozkwit.

O wielu z tych rzeczy, zaledwo potrąconych można by pisać całe tomiki. Byłyby one bardzo pożyteczne, albowiem zło nie tylko mieszkało u nas, lecz wciąż trwa. Ogień dział był zbyt słaby, aby je zniszczyć. W zburzonych murach wszechnic tkwi duch odradzający się łatwiej niż powalone gmachy, duch, który nie doznał żadnego uszczerbku. Kto by dziś z dowodami w ręku wykazał, że Jadwiga andegaweńska uprawiała politykę szkodliwą dla Polski w najważniejszej kwestii krzyżackiej, będzie potraktowany jako nowator wulgarnego gatunku naukowego. Kompleks Alojzego Felińskiego, który z rozwiązłej kobiety uczynił eterycznego anioła, trudno jest przezwyciężyć. Historyczne fikcje cieszą się przywilejem nietykalności, a każda próba rewizji wywołuje odruch niechęci i okrzyki: „świętości nie szargać"! Sprawom moskiewskim nieodmiennie towarzyszą emocje, wywołane tyloletnim wspominaniem rzezi Pragi i melodią „Sztandarów na Kremlu". Co można począć z Marksem w sferach, które dzieje, prawo, państwo i moralność uważają wciąż za manifestacje najwyższej istoty i wiecznego ducha, pomimo iż używają nowej terminologii naukowej, „udoskonalonych metod" i modernizują stare szyldy.

Istota rzeczy, ideologia — pozostaje jaka była. A nałożony na nią pancerz ochronny zostaje wzmocniony. Jest nim rzekoma apolityczność nauki. Jedno z wielkich kłamstw tego świata i z najgorszych intelektualnych nadużyć.

* * *

O sanacji zapomina się u nas często. Tadeusz Breza zasługuje na większe jeszcze pochwały, aniżeli zebrał dotąd. Ale Breza może dopiero w którymś z dalszych tomów powieści - rzeki ukaże to oblicze sanacji, które miała: oblicze zdradzonej rewolucji społecznej, zdradzonej reformy, odczuwanej szczerze przez wielu potrzeby przeprowadzenia egzekucji praw i dóbr. Nie tu miejsce na pisanie o tym i o tych, co szukali szerokiego traktu w górę, znaleźli zaś naprzód wązlutką ścieżkę obok drogi a potem gryzący sumienie wstyd.

Jedną z najważniejszych win obozu piłsudczyków był również ich niemoralny i nierozumny stosunek do narodowych mniejszości. Kazimierz Świtalski „wymądrzał się" kiedyś, w miodowych miesiącach po zamachu majowym, że mniejszości polskie są jak glina zmieszana z mierzwą. Musi się ona wprzód uleżeć, wyparzyć i oddzielić. Potem dopiero przyjdzie czas na gruntowne zajęcie się zagadnieniem.

W październiku 1939 mówił do mnie w Wilnie p. J. L., wyższy urzędnik szkolnej administracji:

— To wszystko było pomyłką. Myśmy tu zabłądzili i stąd musimy pójść. Wracać do własnej chaty.

W mieście od września byli żołnierze Czerwonej Armii. Przestrogi naszych historyków, którzy biadali nad tym okresem dziejów, gdy polska myśl polityczna zabłąkała się na bezbrzeżnych stepach — nabierały życia, a fala historii, ludzi, rewolucji, sprzętu wojennego toczyła się, spieniona, groźna, podówczas jeszcze pełna zagadek i nieodgadnionych tajemnic.

* * *

Henryk Dembiński miał swoją drogę do prawdy. Głupia i nędzna denuncjantka, która przyczyniła się do śmierci Dembińskiego, wyrządziła ruchowi lewicowemu w Polsce wielką szkodę. Książka o Dembińskim (trzeba ją napisać), ukaże rozwój inteligenta polskiego od chłopca z oszmiańskiego powiatu, poprzez zakrystię, żarliwe katolickie „Odrodzenie" w Wilnie, „Żagary" i „Wilcze kły" w monarchistycznym dzienniku, paralegionowe organizacje polityczne młodzieży uniwersyteckiej — do redaktora radykalnego tygodnika „Po prostu", marksistowskiego publicysty i płomiennego mówcy na zjeździe kulturalnym w teatrze lwowskim.

Bezkompromisowy poszukiwacz drogi — wylądował w radykaliźmie społecznym. Bystro odbywał proces rozwojowy, który w jego umyśle przebiegał skrótami, jak stenograficzna filogeneza pojęć i idei — tak powolna, leniwa i oporna w naszej zastałej inteligencji. Ten młody człowiek wywierał wielki wpływ na ludzi, starszych od siebie i wiekiem i doświadczeniem. Jeżeli „osobowość" oznacza jakość, treść — miał ją Henryk Dembiński.

Ale i ludzie i książki wywierały tylko wpływ i pobudzały umysł. Samo przeświadczenie o racji przyszło z życia. Stąd dopiero przeniknęło do sfery uczuć i refleksji, w której rozstrzyga się starcie sprzecznych myśli i dokonuje krystalizacja świadomości, zapada wybór i decyzja poparta wolą. Ta świadomość wyrosła z życia. Jego koleje były tak dziwne, jak burza, która spadła na świat, i miały w sobie tyleż realizmu, ile sam sens przełomowych wydarzeń.

Jak korek na wzburzonej wodzie, byliśmy unoszeni od brzegów morza kaspijskiego i gór Kaukazu do smutnych wrzosowisk w luenebarskim stepie. W infrahistorycznej masie, która błąkała się między Połtawą i Kijowem, zamknięta w kleszczach niemieckich armii, wśród Kozaków nad Donem i nad Kubaniem widziałem społeczeństwo w ćwierć wieku po rewolucji, w chwili ciężkiej próby, od której wyniku zależał nie tylko los proletariackiego państwa, lecz koleje świata. Szedłem przez zniszczone wioski, zrujnowane dzielnice miast. Byłem wśród kolumn wojsk, miażdżonych bombami. Widziałem świeże groby na rozstajach traktorów w stepie, spalony Kreszczatyk w Kijowie, rozgromioną dzielnicę żydowską w Żytomierzu. Czytałem plakaty krwawego generała niemieckiej armii Delaroque, wzywające do pogromów. Sienkiewiczowskim szlakiem na Połonne wracałem pieszo, o żebranym chlebie spod Łubniów do kraju. Przechodziłem pod mostem śmierci we Lwowie. Poznałem nędzę obozu „przymusowej pracy". Widziałem uwożone na zniszczenie kobiety i dzieci, siedziałem w aucie śmierci. I poprzez kształty i barwy — poznawałem źródło zła. Potem konspiracja, tajna szkoła, powstanie. Jak teatralna dekoracja zmieniał się w naszych oczach odcinek miasta wokół placu Dąbrowskiego. Z całych, zasobnych, patrycjuszowskich gmachów zostawały poszarzałe, wyszczerbione mury, a wypalone domy waliły się w gruz. Nocami czuwaliśmy na wyznaczonych placówkach, przy barykadzie, z baterią butelek wypełnionych benzyną i kilku filipinkami na cały oddział.

Wtedy, w płonącym mieście, skazanym wraz z nami na śmierć prowadziliśmy rozmowy. O Polsce, która będzie. Stanisław Głowala, młody podchorąży, tęsknił za swoim Pawełkiem, który pozostał na Lesznie, i martwił się o jutro narodu.

— Czy myślisz, że równość nie pozostanie u nas frazesem?

Głowala - Luśniak był idealistą, lecz umysł miał krytyczny i czuł mocny związek z środowiskiem, z którego pochodził.

Nie wiedzieliśmy obaj jak będzie, zaczynaliśmy jednak rozumieć **jak powinno być.** Bez aplikacyjnych ćwiczeń (nie było na nie czasu) rozumieliśmy też, że należy pazurami trzymać dostęp do Wisły, a gdy Powiśle padło błyskawicznie — znaliśmy już prawdę, o ileż różną od wypisywanych w „Biuletynie Informacyjnym" artykułów i notatek o Rosjanach, którzy nie chcą przyjść z pomocą Warszawie.

Luśniak skonał, poszarpany pociskiem z granatnika, i spoczął w grobie na Chmielnej. Potem był dżdżysty ranek, zbiórka przed gmachem u Jabłkowskich i wymarsz z Warszawy — do niewoli. Obóz w Belsen Bergen z cmentarzem obok. Spoczywało na nim 30 tysięcy radzieckich żołnierzy. Za drutem naszego stalagu ciągnął się słynny dziś na cały świat „kacet" z sukiennicami i krematorium.

Sformułowania teoretyczne nabrały treści. Przeświadczenie otrzymywało pokarm z nieustającej wizji lokalnej, bezcenne doświadczenie, za które płaciło się życiem, bo śmierć uderzała na prawo i lewo, kulą granatem i bombą, denuncjacją, chorobą, głodem. Zebrana mądrość urastała w teorię, której najcenniejszym źródłem jest praktyka. A teoria była już gotowa. To, co miało siłę pociągającą swym rozumem, otrzymało konsens sprawdzonej wiedzy.

Widziałem daleki kraj, którego ludzie zachowali zupełny spokój i szli do swej pracy, chociaż radio podawało codziennie, nieraz kilka razy na dzień: „Pośle ożestoczonnych bojów naszi wojska ewakuirowali gorod..." Widziałem jak z kraju tego płynęły masy ludzi i dóbr, zmobilizowanych do walki. I wiedziałem, że zwyciężą.

Lecz nie siła i powodzenie (przyszło ono o wiele później) zdecydowały o diagnozie i poglądzie. Determinanty były inne. Rozpoznać można było w rewolucji siłę twórczą, która wydobyła z narodu, wyzwoliła wszystko, co w nim jest, i wyprowadziła na szańce: i broń, i inwencję, i chleb, i ofiarność. Cichy, spokojny patriotyzm bez emfazy, ale tak nieustępliwy, że ten tylko rozumie Moskwę, Stalingrad i obronę Leningradu, kto widział tych żołnierzy w walce. Można było pojąć, że podmiotem historii został robotnik i chłop i on wyprowadzi świat z chaosu. Że dokona awansu szybciej i skuteczniej niż francuskie mieszczaństwo po swojej wielkiej rewolucji.

Determinanty były funkcją nie tylko rozumu, lecz etyki i miały w sobie patos nie inny od tego, który młody chłopiec wyczuwał u insurgentów kościuszkowskich i u obrońców Woli.

Teraz nauka o nadwartości nie była już tylko konstrukcją matematyczną i ekonomiczną, imperializm — naukowym terminem świetnej teorii o epoce zaborczych wojen i proletariackich rewolucji, przeciwieństwo pomiędzy społecznym wytwarzaniem a prywatną własnością wytworu — znakomitą abrewiaturą nauki o istocie układu gospodarczego. Prawda rozumu stała się prawdą życia, wszystkiego, co się w nim mieści i kształtuje człowieka.

Wartości, tkwiące w ruchu lewicowym, są nieocenione. Daje on afirmację przeczucia, że życie warte jest trudu, a wysiłek zbliża rodzaj ludzki do rozumnego celu. Być może, że gdy cel będzie osiągnięty, ten lub ów zachowa potrzebę wiary. Ale powszechnie jej miejsce zajmie pewność poznania.

Nie przyjdzie to prędko. Lecz grudy, o które potyka się człowiek, raz po raz upadając, będą już usunięte, problemy równości, prawa, dostatku, dawno za nami, a dzieje krwi o to wylanej — mitem odległej przeszłości. Stanie się tak wielkim kosztem naszego pokolenia i zasługą tych, którzy byli wśród walczących.

Czy rozkosz takiej świadomości jest mała?

A cena jaką wypadnie za nią zapłacić — czy może być zbyt wysoka?

Józef Sieradzki

TREŚĆ NUMERU 1:

Stefan Żółkiewski — **Czy potrzebna jest jeszcze jedna lekcja.** Leon Pasternak — **Wiersz nienazwany.** Andrzej Stawar — **Tadeusz Żeleński - Boy (Zmiana klimatu).** Ryszard Matuszewski — **Bez złudzeń.** Paweł Hertz — **Wiersze.** —— — **Rozmowy „Kuźnicy".** Kazimierz Brandys — **Komendant odwetu.** Kazimierz Budzyk — **Programy Szkolne.** Julian Gałaj — **Mystkowice wioska mała.** Leon Gomolicki — **Kwarantanna Bołdinowska.** Emil Ogłoza — **Arystokraci Volksdeutsche.** J. Ż. — **O polityce teatralnej.** Ewa Korzeniewska — **Niedźwiedzia przysługa.** Eugeniusz Cękalski — **Hollywood i Łódź. Kronika Francuska. Kandyd** — Tak toczy się światek. **Przegląd Prasy. Korespondencja. Noty.**

ANDRZEJ STAWAR

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

(Ciąg dalszy).

III. BOY — MĘDRZEC.

Na początku 1919 r. Boy zaczął pisywać recenzje teatralne w „Czasie" organie konserwatystów krakowskich. Od 1921 r. zaczęły się ukazywać zbiory tych sprawozdań pod tytułem „Flirt z Melpomeną". Te świetnie pisane recenzje zdobyły sobie szybko uznanie czytelników, niemniej działalność Boy'a jako krytyka teatralnego wywołała ze strony specjalistów teatralnych zastrzeżenia. W przedmowie do drugiego zbioru „Flirtu z Melpomeną", Boy oświadczył zresztą „Pisanie o teatrze jest dla mnie jedynie miłym wytchnieniem po innej pracy, której oddałem się cały". Polemika z zarzutami jest dosyć ustępliwa, uderza podkreślanie własnej niekompetencji, marginesowości zainteresowań teatralnych. Zważywszy jednak, iż te recenzje złożyły się na szesnaście tomów, margines ten okazuje się dość pokaźny. Znamienne, iż Boy czuje się jakoby wciągany do krytyki przez okoliczności zewnętrzne, tłumaczy mechanizm tego wciągania w sposób zbyt doraźny.

Zarzucano mu pewne lekceważenie walorów pracy teatralnej w ścisłym znaczeniu, inscenizacji, faktury przedstawienia. Boy potwierdzał właściwie te zarzuty podkreślając u siebie pewien brak zainteresowania dla problemów ściśle teatralnych. Tłómaczył się też warunkami sceny krakowskiej, gdzie charakterystyczna dla teatrów prowincjonalnych, niezmiernie częsta zmiana sztuk nie dawała możności staranniejszego ich opracowania — o walorach czystej teatralności trudno więc było mówić. Niemniej kontynuując działalność recenzencką w Warszawie, gdzie panowały warunki odmienne, Boy nie zmienił metody pisania. Poświęcając obszerniejsze rozważania błahym sztuczkom, które go zainteresowały fabułą zbywał kilkunastu wierszami inscenizacje uważane za poważne etapy w dziejach teatru polskiego. Narzekania ludzi teatru były w zupełności usprawiedliwione. Przyczyny tego konfliktu szukano w określonych inklinacjach teatralnych, o co nie bez racji obwiniano Boy'a, ale istotne przyczyny tkwiły głębiej.

W rzeczy samej Boy'a trudno uważać zakrytyka w ścisłym znaczeniu tego słowa. Posiadał on niewątpliwie olbrzymią wiedzę literacką, zdobytą w sposób czysto empiryczny przede wszystkim drogą doświadczeń i obcowania z autorami i zagadnieniami literackimi przy pracy tłumaczeniowej. W przekładach klasyków francuskich wykazał niezmierną inwencję językową, wniknięcie w formacje stylowe okresów tak odbiegających od siebie jak wczesne średniowiecze, wiek XVI i XVII, epoka oświecenia. Jeśli chodzi o czasy nowsze, Boy wykazał nie mniejszą znajomość szczegółów biograficznych jak i przebiegu ewolucji literackiej Ale ta ogromna wiedza pozostała czysta, empiryczna. Nie zdradzał chęci ujęcia tych doświadczeń w ściśle pojmowany i stosowany system jednolitych kryteriów, tak treściowych, jak formalnych.

W recenzjach Boy'a uderzała przewaga sprawdzianów zdrowego rozsądku, nie zawsze uwzględniająca specyfikę sztuki. Ale podobnie jak zarzuty fachowców, tak i niezmienne powodzenie tych recenzji u publiczności miało swoje podstawy.

Boy'a interesowało w gruncie rzeczy w przedstawieniu to samo co większość widzów. Podobnie jak dla nich, teatr stanowił dlań przede wszystkim wedle szekspirowskiego określenia, zwierciadło życia. Ale zwierciadło to nie jest proste, nie odbija wszystkiego jednakowo. Boy'a w pierwszym rzędzie interesują konfrontacje materiału życiowego, przedstawionego na scenie, wypadki, przebiegi trafu, losy przedstawianych osób, skąd komentarze wynikające z doświadczenia z

rys. M. Piotrowski

porównań. Te motywy rozwijają recenzje Boy'a przede wszystkim. Niektóre z nich robią wrażenie niemal szkiców nowelistycznych, pisanych na marginesie wątku autorskiego. Nieznacznie zakres spraw poruszanych rozszerzał się. Od rozważania zdarzeń, autor przechodził do uogólnień o szerszym charakterze, zmian obyczajowych, funkcjonowania schematów artystycznych, słowem, uwzględniając to co wchodziło w zakres szeroko pojmowanego stosunku literatury do życia. To interesowało Boy'a w teatrze przede wszystkim, natomiast formalna strona sztuki teatralnej, o ile zacierała lub deformowała treści życiowe budziła w nim opór zdecydowany. Nie chodziło tu jak powiadano o wyłączną inklinację do teatru francuskiego czy o faworyzowanie literatury w teatrze, bo gdy Boy z czasem zajął się tylko problemami czysto literackimi zachował podobną postawę, negliżującą poniekąd formalną stronę zagadnień. W tym była jego silna i jednocześnie słaba strona. Zachowywał przez to pewną świeżość człowieka ze strony, spojrzenie wynalazcze. Ale też brak systemu powodował elementarne luki w zachowaniu proporcji zjawisk.

Stopniowo działalność recenzencka wciągała go w publicystykę, zakres interesujących Boy'a zagadnień ulegał ciągle rozszerzaniu. Mniej więcej koło roku 1923—4 zaczynają się ukazywać felietony podpisane Boy-mędrzec. Nie mogło to być uważane za autoreklamę, za żart humorysty, choć chciano w tym widzieć potrosze to i tamto. Boy parając się z literaturą już od lat bezmała trzydziestu, zachował dość silne poczucie niezawodowości. Pisywał wiersze, ale satyrę zarzucił. Drukował większą ilość tłumaczeń, nazwanie go jednak tłumaczem w przyjętym znaczeniu, ograniczałoby w jakiś sposób istotny zakres jego pracy. Dorobkiem komentatorskim przewyższał pod niejednym względem uznanych specjalistów romanistyki, ale uczeni od literatury nie uznawali go za swego. Pisząc stale recenzje z przedstawień, sam o sobie mówił, że nie jest krytykiem. W rezultacie jeden z najpracowitszych i najwydajniejszych literatów epoki uważany był potrosze za dyletanta, za rodzaj geniusza bez teki, bo nie poddawał się zaklasyfikowaniu, nie pasował do istniejących rubryk. A to u prowadzących ewidencje literackie ma takie same znaczenie jak we wszystkich ewidencjach.

Jednocześnie mógł dostrzec swoją rosnącą wagę tak we własnym poczuciu jak u otoczenia. Publiczność czytającą mało obchodziło, że ma do czynienia ze zjawiskiem niezaklasyfikowanym. Boy od szeregu lat rzec można kształtował konwersacyjny język, wiersze jego porozdzierane na strzępy cytat i powiedzeń stały się jakby zbiorem nowoczesnych przysłów inteligenckich. Czytelnicy pochłaniali chciwie to wszystko co Boy napisał, jego autorytet wśród publiczności przewyższał nie jedną zarejestrowaną, ustaloną, skomentowaną sławę okresu. Przecież ów stan jakiejś pozalegalności literackiej intrygował Boy'a, odczuwał on konieczność jakiegoś zaklasyfikowania siebie poza istniejącymi kryteriami profesjonalnymi literatury, które okazywały się za szerokie i zarazem zbyt szczupłe. Przyjęcie miana „mędrzec" nie było tylko żartem, stanowi to przede wszystkim wyraz tego poczucia nieprofesjonalności, ściślej nieodpowiedniości zastosowania kryteriów zawodowo-literackich do własnej pracy Boy'a.

Zresztą słowa „mędrzec" Boy używał w znaczeniu jakie miało u starożytnych, mianem tym obdarzali oni wogóle pewien stopień żarliwości intelektualnej, bez względu na to dokąd prowadziła. Wedle dzisiejszych pojęć ludzie, którzy swoim koncepcjom intelektualnym dawali świadectwo przez mieszkanie w beczce lub chodzenie wyłącznie po linii prostej bez względu na przeszkody i konsekwencje praktyczne zasługiwaliby na miano oryginałów lub dystraktów. „Mędrzec" w tym znaczeniu odpowiadało określeniu „filozof" w sensie używanym w w. XVIII. Użycie tego miana nie oznaczało wówczas, iż dany człowiek zajmuje się zawodowo teorią poznania, metafizyką czy systematyką nauk, — charakteryzowało ono raczej praktyczne umiłowanie prawdy, poszukiwanie mądrości, prymat intelektualnego stosunku do rzeczywistości, krytycyzm w stosunku do ustalonych wierzeń i obyczajów, branie wszystkich zjawisk na rozum. Do tego osiemnastowiecznego typu intelektualizmu Boy zbliżał się przez swe zamiłowanie i głębsze inklinacje.

Miano „mędrzec" uwydatniało mimowoli poczucie lekkiej anachroniczności towarzyszące pisarzowi. Po roku 1918 klimat literatury i wogóle klimat życia polskiego się odmienił. Boy, którego dotychczas wszystko wiązało przecież z Krakowem wrócił do Warszawy opuszczonej w dzieciństwie — powrót taki po czterdziestu latach zaostrza niewątpliwie trawiące poczucie przepływu czasu. Wzmiankowane sprzeczności musiały w jakiś sposób doskwierać pisarzowi.

Boy dobiegał wówczas pięćdziesiątki, jego obfita wielostronna działalność jako się rzekło w powszechnym rozumieniu znajdowała się jakby na marginesie współczesnej literatury. W swoim czasie przejęcie się francuzczyzną trąciło dla ludzi młodo - polskich staroświecczyzną, stanowiło oderwanie się od bieżącej konjunktury literackiej. Przekłady owe zdobyły pisarzowi, nowy rodzaj uznania. W recenzjach owego czasu. Boy — drażniący humorysta, autor „Słówek" — otrzymuje czcigodny acz myszką trącący przydomek „benedyktyna" mówi się powszechnie o jego benedyktyńskiej pracowitości, czasem z dodatkiem gallickiego ésprit.

Przez ten czas weszło do literatury nowe pokolenie w literaturze różniące się i mentalnością i stylem wystąpień. Młodzi pisarze szli grupami z początku zwłaszcza dość ekskluzywnymi. Kontakt autora „Słówek" z nowym pokoleniem, z nowymi zjawiskami literackimi był raczej słaby. To też jakkolwiek Boy nie mógłby się uskarżać wówczas na brak powodzenia czy uznania, to jednak w nowych warunkach jego sytuacja przypominała potrosze spóźnionego debiutanta szukającego jeszcze dla siebie właściwego pola działalności. Wskazał mu nie wątpliwie drogę sukces „Flirtu z Melpomeną", sukces, który autor w przedmowie do drugiego tomu podkreślił jakby z uczuciem lekkiej niespodzianki. W latach następnych w związku z rozszerzeniem działalności pisarza sprawa owej klasyfikacji przybiera obrót, który mógł się wydawać niespodziany dla ówczesnych środowisk literackich.

Gdzieś w 1922 r prof. Wacław Borowy poświęcił działalności przekładowej Boy'a dłuższe studium drukowane w „Przeglądzie Warszawskim". Fakt ten wywołał jakby pewne zdziwienie przy całym uznaniu nie uważano Boy'a za „problem". Studium Borowego rozgraniczyło jakby dwie fazy działalności Boya.

W ciągu niespełna dziesięciu lat w pozycji pisarza zaszedł zwrot zasadniczy, wprost gwałtowny. Z marginesów literatury przechodzi do głównego ośrodka, dystansuje innych pisarzy, staje się najważniejszym zagadnieniem czasu, otwiera nowy rozdział dziejów literatury. Gdzieś w r. 1933, człowiek, który nie należał bynajmniej do wielbicieli Boy'a, redaktor wileńskiego „Słowa" Cat-Mackiewicz stwierdza, iż Boy-Żeleński zajmuje właściwie pozycję taką jaką w swoim czasie zajmowali kolejno Sienkiewicz i Żeromski, jest najbardziej podziwianym i najgwałtowniej atakowanym autorem współczesnym. Wyjaśnienie jak do tego doszło wprowadza nas niewątpliwie w sam gąszcz problemów literackich czasu.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

O demokratyzację wyższych uczelni

(Fragmenty przemówienia wygłoszonego na Zjeździe rektorów oraz profesorów Wyższych Uczelni)

KONFERENCJA rektorów oraz pracowników naukowych, która została zwołana po 2-letniej niemal pracy Polskich Uniwersytetów, posiada swoją specjalną wymowę, zwłaszcza wówczas, jeżeli uwzględnimy, że jej zadaniem jest stać się punktem wyjścia dla nowego etapu, etapu szerokiej i długoplanowej reorganizacji, zarówno struktury wyższego szkolnictwa jak i metod nauczania. Te 2 lata, które mamy za sobą, są więc mimo niewątpliwie poważnych osiągnięć w dziedzinie odbudowy naszych uniwersytetów, nie tyle probierzem naszych zamierzeń, ile raczej wyrazem tragicznego dysonansu między treścią nowego życia w Polsce, a treścią życia uczelni.

Nauka, a tymbardziej nauczanie nie rozwija się poza zasięgiem przemian natury społeczno - ustrojowych, a przeciwnie, będąc niejednokrotnie składową częścią ich przyczyn, podlega prawom rozwojowym nowych wydarzeń i nowej epoki.

I nie jest przypadkiem, że u podstaw nowego zwycięskiego etapu w rozwoju człowieka, leży naukowa metoda badania zjawisk natury społeczno-ustrojowej, leży ta olbrzymia wiara człowieka, że miejsce nawyków myślowych, tradycyj, przesądów, winna zająć naukowa metoda badania zjawisk, dotyczących nietylko wiedzy ścisłej, lecz również wiedzy socjologiczno - ekonomicznej.

Polska rewolucja ludowa jest czymś więcej niż przesunięciem warstw społecznych, niż realizacją hasła unarodowienia przemysłu i reformy rolnej. Polska rewolucja ludowa jest także rewolucją w dziedzinie myśli, jest zwycięstwem świadomego tworzenia zarówno w dziedzinie społecznej, jak i naukowej nad procesami przypadkowych uzależnień od poszczególnych elementów społecznego rozwoju.

Można jednak zaryzykować twierdzenie, że inteligencja nie zdaje sobie jeszcze w pełni sprawy z istoty tego przewrotu. W przeszłość odeszła nie tylko struktura gospodarcza ustroju wielko - kapitalistycznego, w przeszłość odchodzi typ psychiczny człowieka, kierującego się emocjonalnymi odruchami i okruchami wiedzy pokoleń, lecz jednocześnie człowieka, który nie potrafił myśleć w sposób uwarunkowany zjawiskami w ich rozwoju, myśleć nie statycznie, lecz czynnie, tak jak czynnym jest całe nasze życie.

Dla świata nauki ta cecha naszej rewolucji, jest cechą, posiadającą najbardziej istotne, powiedziałbym, kapitalne znaczenie.

Lecz jednocześnie każdy człowiek, a więc i człowiek nauki obraca się nie poza przestrzenią i nie poza czasem.

W epoce naukowej medycyny powodzenie znachora jest powodzeniem wymierającej ciemnoty. W epoce naukowych metod badania wszelkich zjawisk związanych z życiem człowieka, w epoce wyzwolenia nauki z pęt zamówienia klasowego warstwy odchodzącej, uczony, który nie potrafi tego na czas zrozumieć, pozostaje w tyle poza nowymi naukowymi możliwościami.

Zadaniem więc organizacji naukowych i środowisk naukowych jest dokonanie tej olbrzymiej rewolucji myślowej, która jest warunkiem zachowania swojego dotychczasowego prawa, reprezentowania oblicza polskiej nauki.

My wiemy, że są to zjawiska nie proste i niełatwe. I obóz demokracji ludowej posiada olbrzymią wyrozumiałość warstwy społecznej, której zwycięstwo nie jest dziełem przypadku, a dziełem żelaznych, naukowych praw rozwoju ekonomicznego i społecznego.

I tym się tłumaczy, że tolerowaliśmy panujący dotąd na uniwersytetach klimat epoki minionej, klimat epoki umarłej. Jeżeli ktoś traktował jako dowód naszej słabości fakt, że w naszych uczelniach kształcą się dotąd jeszcze wrogowie systemu, kształcą się entuzjaści powrotu do metod eksploatacji, metod niewolnictwa ustroju kapitalistycznego, ten mylił się i myli się dotąd. To nie była słabość. To była wiara w człowieka. Wiara, że inteligencja polska dojrzy swoją własną wielkość na własnej drodze ludu polskiego. To była wiara, że nauka polska i że uczeni polscy zwyciężą w sobie patynę przeszłości, antynaukowego przesądu społecznego, przypadkowych urazów psychicznych i bolesnego nieporozumienia ze swoim własnym sumieniem naukowca.

Nam niewątpliwie ciężko było i ciężko jest patrzeć, gdy synowie chłopscy i synowie klasy robotniczej dotąd jeszcze mają utrudniony dostęp do szkół wyższych, gdy są usuwani z dekanatów profesorzy wypróbowani w swojej wiedzy, tylko dlatego, że reprezentują nową myśl postępową.

Jeżeli jednak tolerowaliśmy dotąd ten stan rzeczy, to tylko dlatego, że posiadamy głębokie przeświadczenie, iż przełom zostanie dokonany przede wszystkim własnymi siłami ciała profesorskiego wyższych uczelni, że i tam wybije godzina zwycięstwa wolnej myśli naukowej, opartej o dokonany już przewrót społeczny ludowej rewolucji.

Byłoby jednak uproszczaniem zagadnienia sprowadzania całego problemu do metod marksistowskiego myślenia, lub sprowadzania konfliktu ideowego do walki dwóch szkół, szkoły materialistycznej oraz szkoły idealistyczno-katolickiej.

Zagadnienie jest więc znacznie szersze. Jest to sprawa przestawienia myślowego, równoległego do przestawienia społecznego dokonanego już obecnie w Polsce, a nie dokonanego jeszcze w strukturze socjalnej i umysłowej szkół wyższych. Jest to zagadnienie nowej struktury szkolnictwa wyższego, nowych metod nauczania, nowego oświetlania zagadnień naukowych i nowego klimatu. *Jest to inaczej mówiąc zagadnienie demokratyzacji wyższych uczelni.*

Musimy tę sprawę postawić jasno i po męsku. Rewolucja w Polsce nie zatrzymała się na miejscu, ponieważ nie bywa zahamowań twórczych w przyrodzie i w życiu człowieka, bywają tylko zahamowania negatywne, kończące się gwałtownym wstrząsem.

Chcemy go uniknąć. Chcemy doprowadzić do rewolucji nauczania i rewolucji w organizacji wyższego szkolnictwa, ale rewolucji w majestacie prawa.

Współpraca z szeregiem profesorów i rektorów w toku prac komisyjnych przekonała nas o:

pozytywnym stosunku większości ciała profesorskiego do zagadnienia reorganizacji wyższego szkolnictwa,

o istnieniu na wyższych uczelniach zrozumienia dla konieczności oczyszczenia męczącej i szkodliwej dla obu stron atmosfery nieufności i napięcia.

Z drugiej strony doszliśmy do przekonania że powaga położenia, że głębokość reformy wyższego szkolnictwa wymaga decyzji przemyślanych i ostrożnych, chociaż szybkich i stanowczych.

W tych warunkach przychodzimy z projektem, referowanym dzisiaj przez prof. Jaroszyńskiego, który:

w podstawowych tezach jest uzgodniony na plenarnym posiedzeniu rady szkół wyższych w dn. 12 grudnia 1946. w szeregu wariantów posiada charakter raczej ankiety, wymagającej dalszej dyskusji i rozpracowania.

Obecna konferencja winna przynieść obszerny materiał, który posłuży dla opracowania już ostatecznego projektu zarówno nowej ustawy o szkołach akademickich, jak i struktury organizacji nauki polskiej, jak wreszcie i rozporządzenia o nowym ustroju organizacji akademickich.

Sądzimy, że miesiąc luty, marzec winny dać zakończenie naszej pracy. Wówczas zwołamy nowy zjazd nauki polskiej, dla ostatecznego przemyślenia postawionych dzisiaj zagadnień. Oto jest droga, na której mamy nadzieję dokonać wielkiego dzieła przebudowy ustroju wyższego szkolnictwa w oparciu przede wszystkim o pracowników nauki polskiej.

I wówczas, kiedy podsumujemy już plon naszej pracy i panowie bez uprzedzenia zajrzą w głąb swoich sumień naukowych, będziemy w stanie wyjść na arenę dokonywujących się wydarzeń, niezaskoczeni ich logiką historycznego rozwoju. Nauka polska stanie się wówczas świadomym współtwórcą nowego człowieka, człowieka rodzącej się epoki, epoki zwyciężającej nie gwałtem fizycznym, a głębokością analizy naukowej wiecznie twórczego życia.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Fioletowe bawoły

O bawoły, fioletowe bawoły...
Ziemia uschła, całe zbocze — gołe,
I nie woła nikt. Ach, nikt nie woła...
Rogi kręte, mięśnie mocno spięte,

siły wielkie, ciemne, niepojęte.
Nie ma woli, ani snów, ni święta.
Całe zbocza w kamiennym oporze

czarno sine bawoliska orzą...
I nie woła nikt! Ni świat! O Boże!
I tak idą, to grzbietem to żlebem,

rozrywając, przewalając glebę,
z ziemi w niebo, kopytami w niebo...
Jarzmem grodzą drogi i rozdoły,

stękające, tępo-okie, nizko-czołe
bawoły, fioletowe bawoły.

APRILY LAJOS

Antygona

Już słońce nisko, mój Hemonie,
i purpurową spuszcza łódź;
w rosach i świetle Dirke tonie;
zefir poczyna fale pruć.
Kurz nocy jasną smugą wionie,
na mojej stopy lekki ślad...
Ciemny jest Acheronu piach,
trzeba umierać, mój Hemonie.

Tu, gdzie nienawiść bodzie niebo,
cóż, poczniem, my — sieroty dwie?
Kochać nie wolno, a ja biedna —
nienawiści nie uczono mię.
Lecz klątwa rodu za mną goni
i depce wyjąc po mych snach...
Ciemny jest Acheronu piach,
trzeba umierać, mój Hemonie

Umrzeć trza tu, Dirke surowa,
może raz prawa porzucą,
i wówczas będzie wolno znowu
miłować braci po ludzku.
Lecz mnie, skazanej, kto odsłoni
tam, w dole — nowe piękno dnia?!
Ciemny jest Acheronu piach,
trzeba umierać, mój Hemonie.

przekład z węgierskiego Kazimiery Iłłakowiczówny

Wiersze nadesłane Redakcji przez Kazimierę Iłłakowiczównę, która po siedmioletnim pobycie na emigracji powraca do kraju.

JAN ALEKSANDER KRÓL

Ludowe dziś może być to, co narodowe*)

(List otwarty do działaczy wiciowych)

1. NOWA SYTUACJA

Drodzy Przyjaciele! Odpowiedzcie — na czym polega wewnętrzna sytuacja nowej Polski? Czy zmierzamy do utrwalenia „klasy robotniczej" i „warstwy chłopskiej", jako odrębnych grup społecznych?

Czy zdaniem Waszym „klasa robotnicza" i „warstwa chłopska" są formacjami historycznymi, a więc tylko czasowymi i przejściowymi?

Zastanówmy się. Powstanie klasy robotniczej jest związane z powstaniem industrializacji na usługach kapitalizmu. Robotnicy w niewoli kapitalistów — oto klasa robotnicza. Zrzucenie kapitalizmu to zarazem początek zanikania „klasy robotniczej" w historycznym znaczeniu. Cały przecież sens walki socjalnej robotników sprowadzał się do tego, aby przestała istnieć „klasa robotnicza".

Powstanie „warstwy chłopskiej" w nowożytnym pojęciu wiąże się z dwiema fazami dziejów — z feudalizmem i kapitalizmem.

Zniesienie pańszczyzny wyprowadza warstwę chłopską ze średniowiecznego układu stosunków produkcji. Zagrabiał on ziemię i pracę chłopa. Zdobycie ziemi i zachowanie owoców pracy stanowiło postęp w dziejach wsi, ale ze stosunków feudalnych pozostała wielka własność ziemska, co ziemiaństwu pozwoliło podtrzymywać tradycję ‚demokracji szlacheckiej", splatając ją z „demokracją liberalną" i dlatego nie straciło ono pozycji grupy rządzącej narodem w okresie niewoli a po wyzwoleniu państwem.

Zniesienie pańszczyzny stawia warstwę chłopską w obliczu kapitalizmu, który rozporządza nowym systemem produkcji przemysłowej, ale produkcję hamuje w stopniu, przy jakim powstają „nożyce cen" i wieś zatrzymuje się dlatego w zapóźnieniu cywilizacyjnym. Przemysł w naszym kraju powstał w inwazji kapitału zagranicznego. Ten kapitalizm z „drugiej ręki" nie miał powodów tracić korzyści jakie dawała pół-feudalna struktura Polski z najtańszym rezerwuarem sił roboczych na wsi, właśnie dlatego, że wieś pozostawała zacofana w technice i organizacji produkcji, a tym samym bezradna społecznie. Ten kapitalizm nie dokonał nawet takich zmian społecznych, jakie nastąpiły w epoce industrializacji na zachodzie: — nie zmienił stosunku ludności rolniczej do innych zawodów, podczas kiedy tam wieś rolnicza spadła do 30-tu, a nawet do 6 proc. Ta faza w innych krajach stworzyła nowe warunki do ujednolicenia **społecznego klas pracujących przez ujednolicenie w całym społeczeństwie systemu towarowej, technicznej, przemysłowej produkcji.**

Brak u nas podobnych przemian zagrażał na przyszłość demokratycznej jedności ludu robotniczego i wiejskiego. Zagrażał pełnemu ludo-władztwu. I błędem ze strony Ruchu Ludowego była walka prawie wyłącznie z ziemiaństwem tj. z resztkami feudalizmu i szlachetczyzny. Nie można ich rozkruszyć, nie walcząc z kapitalizmem, na którym one się wsparły. Wyjście z feudalizmu to jeszcze nie wyjście z tradycyjnej pozycji „warstwy chłopskiej". Dla wsi równie ważne było obok reformy rolnej uspołecznienie przemysłu i finansów. Dla klasy robotniczej równie ważna reforma rolna. I ruch robotniczy miał świadomość doniosłości tej reformy. Mogła ona bowiem ostatecznie wyzwolić wieś z ziemiańsko-agrarnego myślenia i położyć kres złudzeniu, że samo powiększenie ziemi rozwiąże narosły od czasu zniesienia pańszczyzny dramat wsi uwikłanej w sidłach kapitalizmu. Poza sprawą „reformy rolnej" odsłaniało się zapóźnienie cywilizacyjne wsi na skutek słabego rozwoju przemysłu oraz na skutek tkwienia wsi w fazie drobno-kapitalistycznej produkcji i „liberalnej demokracji" z jej ideałem wolnej konkurencji.

Droga mas ludowych wiodła nie tylko do obalenia ziemiaństwa i kapitalizmu, wiodła również do społecznego i produkcyjnego ujednolicenia się samego ludu. To była wizja nowej demokracji: narodu społecznie jednorodnego, wolnego od walki klasowej, wolnego zatem od odrębnych klas. I „warstwa chłopska" w swojej ewolucji i „klasa robotnicza" miały przekształcić się w **jeden, nowoczesny świat pracy,** który naród opiera o wspólny plan gospodarczy, gwarantujący unowocześnienie systemu produkcji i jego upowszechnienie.

Cóż należało uczynić, skoro na naszej wsi przeludnienie sięgało połowy ludności, skoro była „gospodarka naturalna", na domowe potrzeby z „nadwyżkami" na zbyt, skoro w tych warunkach panowała nędza i odcięcie od uczestnictwa w wyższej kulturze i cywilizacji? **Rozwinąć przemysł!** Ale w ustroju ziemiańsko-kapitalistycznym było to niemożliwe w stopniu, do jakiego sięga zapotrzebowanie mas ludowych na pracę bez wyzysku i tanie artykuły. Nasza „rewolucja łagodna" ukazuje nam w dalszym ciągu ten sam cel, dla którego zrealizowania usunęliśmy polityczne przeszkody. A rozwój przemysłu w państwie ludowym oznacza zmniejszenie ludności rolniczej przynajmniej do jednej trzeciej. Będzie wówczas „warstwa chłopska"? Rozwój przemysłu oznacza ujednolicenie produkcyjne, kulturalne i społeczne tej zmniejszającej się ilościowo wsi z miastem, z robotnikiem i inteligentem — będzie wówczas warstwa chłopska"? Czy zatem idziemy do jej utrwalenia, czy do wyjścia z niej w naród. Do rozwiązania się i „warstwy chłopskiej" i „klasy robotniczej" na rzecz większej grupy jaką jest naród — państwo, i wyższej, skoro **społecznie jednolitej.**

2. ODRĘBNA MYŚL POLITYCZNA — ODRĘBNA FILOZOFIA SPOŁECZNA

Michał Jagła jest przeciwnego zdania. Ta perspektywa mu nie odpowiada. „Barwa naszych sztandarów ideowych — powiada — jest zdecydowanie zielono-ludowa, bez żadnych domieszek. Barwa zdecydowanie demokratyczna. Nie widzimy rzeczowych podstaw ani do zmiany frontu na polu wychowania ani do zmiany barwy".

Zastanówmy się. Barwa zdecydowanie zielona, zdecydowanie demokratyczna... A przecież pod zieloną barwą wyrażała się inna treść demokratyczna Ruchu Ludowego do roku 1918 ,a inna po nim. W pierwszym okresie nie było mowy o Reformie Rolnej, występował „serdeczny lud". W drugim podchwycona od socjalistów Reforma Rolna rozpala klasowy bunt i wiąże go w chłopsko - robotniczy front rewolucyjny.

Powiada Jagła, że w nowej Polsce zachowana została „dwoistość w strukturze gospodarczej" — na wsi indywidualna, prywatna gospodarka — w mieście państwowa oraz uspołeczniona gospodarka przemysłowa. Ponieważ tę dwoistość gwarantuje Manifest Lipcowy jest ona zatem „uznana za fundament nowej Polski", wobec czego „naturalną jest rzeczą, że dwa odrębne w swojej strukturze gospodarczej światy, mają i mieć będą odrębną myśl polityczną i odrębną nawet filozofię społeczną".

Owszem jest naturalną rzeczą u Jagły wynajdywać argumenty do tezy, którą głosi wojnę między chłopami a robotnikami. Ale jakiej wartości są te argumenty?

Dlaczego mogliśmy zachować drobną własność produkcyjną na wsi i w mieście? Dlatego, że usunęliśmy ziemiaństwo i kapitalistyczny ustrój. Drobna własność chłopska funkcjonuje teraz w innym systemie gospodarczym, w ogólno - narodowym planie gospodarczym, który przewiduje dla niej produkcję aż do nasycenia nowoczesnych narzędzi pracy, kadr fachowców, urządzeń technicznych, przewiduje stałe, rosnące przesuwanie ludności ze wsi do przemysłu, przewiduje rozwój spółdzielczych przedsiębiorstw przemysłu i zbytu rolnego, rozwój instytucyj kultury i oświaty. Gdyby zatrzymać się na jednym tylko punkcie programu ludowego — dziś dopiero przy planowej gospodarce możliwym do zrealizowania, na: reglamentacji, rejonizacji i specjalizacji rolnictwa — pytam, co tu robi demagogia o „dwoistości w strukturze gospodarczej"? Przecież nie to rozstrzyga, że chłop ma i dziś, jak miał wczoraj własne, prywatne gospodarstwo, rozstrzyga **nową funkcja** tego gospodarstwa. Kto chce reglamentacji w rolnictwie ten chce „regulowania z góry produkcji rolnej". Kto chce rejonizacji ten wyprowadza chłopskie gospodarstwo z tradycyjnej produkcji na „domowe potrzeby" z nadwyżkami w skomplikowany plan produkcji towarowej na zbyt, w plan oparty o naukowe orzecznictwo przydatności rolnej rejonu. Ten zatem przekształca właściciela „naturalnej", samowystarczalnej" gospodarki na przedsiębiorcę i specjalistę, określonych kilku czy jednego rodzaju produkcji, włączonego w odpowiedni związek branżowy, odpowiednią gałąź przemysłu i stały rynek zbytu. Gdzie tu zatem — pytam — miejsce „na odrębne w swojej strukturze gospodarczej światy"? Gdzie tu powód na „odrębną myśl polityczną", ba, na „odrębną filozofię społeczną"?

Wracam do pytania wstępnego — a czego dążymy? Do wejścia w naród? W Polskę Ludową, tzn. społecznie jednolitą, w której o jednolitości będzie decydowała jedność nowoczesnego świata pracy? Czy też do zachowania odrębności klasowej, na którą składają się u nas przedłużone aż po dziś dzień formy gospodarki naturalnej, w związku z przetrwaniem do obecnej wojny układu stosunków społecznych tamtej, feudalnej jeszcze produkcji, na którą składają się popańszczyźniane tradycje drobnej produkcji i drobnej wymiany w wolno-konkurencyjnej, liberalnej demokracji?

Trzeba wybierać. „Dwa ruchy społeczne — chłopski i robotniczy — jak pisze prof. Chałasiński — niosą ze sobą odrębne wzory osobowo - wychowawcze, odrębne w swojej strukturze i w swoich tradycjach. Ale nie są to wzory wrogie sobie w swej istocie. Ich **antagonistyczne tendencje** wiążą się **z kapitalistycznymi formami gospodarstwa** i znikną przy odpowiednich formach **uspołecznienia gospodarstwa i człowieka".**

3. GOSPODARSTWO PRYWATNE W IZOLACJI SPOŁECZNEJ

Do czego przykłada rękę Michał Jagła — do wzmocnienia antagonistycznych tendencji, czy do ich usuwania?

„Walczyliśmy — powiada — przeciw wszelkiemu uciskowi, przeciw wszelkim zakusom skoszarowania umysłów przeciw wszelkiej tresurze, zmieniającej ludzi w bezduszne automaty, słowem przeciw wszelkiemu faszyzmowi".

Ucisk, skoszarowanie, tresura, bezduszne automaty — czy na tym polega faszyzm? Był on chyba imperialną formą kapitalizmu. Tresura i skoszarowanie wyrażały bezwzględne zorganizowanie społeczeństwa przez kapitalizm, gotowy do wojny łupieżczej. Jagła korzysta z naszych doświadczeń wojennych z Niemcami, kiedy przeżywaliśmy osobiście „ucisk bezdusznych automatów". I nie odsłaniając ukrytej za nim treści imperialistycznego kapitalizmu chce nam obrzydzić wszelkie formy nacisku prawnego, wszelkie formy organizacji społecznej państwa, które by uzależniały jednostkę i gałąź produkcji w stopniu wyższym, niż to było we wczesnej fazie kapitalizmu — w demokracji liberalnej, w okresie „wolnej konkurencji", „wolnej gry interesów", do którego należy i ciąży stara wieś, nie wyzwolona z popańszczyźnianych tradycji indywidualnej gospodarki — izolowanej społecznie! W przystępie szczerości wskazywał na to samo źródło tragedii materialnej i kulturalnej wsi — Miłkowski. „Jeśli chodzi o sam system gospodarowania to ten się nie wiele zmienił. Produkuje się zazwyczaj wszystko — co jest potrzebne w gospodarstwie domowym. Chłop dotychczas do bardzo wielu zagadnień bezpośrednio go obchodzących ustosunkowuje się biernie. Pracuje nad miarę fizycznie — za mało jednak w swój codzienny trud wkłada wysiłku myślowego". („Agraryzm").

Jagła ten ucisk drobno-kapitalistycznej produkcji za ucisk nie uważa, choć jego rezultatem były miliony bezrobotnych, nieopłacalna, zacofana gospodarka, nędza i ciemnota, w sumie „warstwa chłopska", charakterystyczna dla krajów wschodniej Europy, nieuprzemysłowionej, w roli półkolonii kapitalistycznych mocarstw.

Jagła również nie widzi w rodzinnej gospodarce chłopskiej tresury do izolacji społecznej, nie lubi on bowiem widzieć sił społecznych, które dotąd naprawdę wyznaczały położenie wsi. Nie widzi na wsi „bezdusznych automatów", o których mówi Miłkowski: chłop „pracuje nad miarę fizycznie — za mało jednak w swój codzienny trud wkłada wysiłku myślowego". My wiemy, że ten automatyzm opromieniony jest u wszystkich Jagłów aureolą „wolnego człowieka", który czerpie swe prawa i zasady z ziemi, z praw rządzących produkcją drobno-rolną". Właśnie z praw rządzących produkcją drobno-rolną w ustroju kapitalistycznym, w demokracji liberalnej. My zaś chcemy drobno-rolnej produkcji w jego gospodarstwie, ale wielkorolnej, wielko-planowej w perspektywie gospodarki całego, ludowego państwa.

4. COFAJĄ SIĘ PRZED „SZALONĄ PRODUKCJĄ"!

Przed tym jednak wstrzymują wieś rozmaite Jagły. Bo walczą przecież z „uciskiem" jaki wniosła, ich zdaniem, cywilizacja techniczna. Wszak człowiek nadal cierpi nędzę „mimo rozwoju techniki, **szalonej produkcji".** Pytam Panów Kutów, jak oni mają odwagę zalecać taki „światopogląd ludowy, który Polskę ocenia jako kraj **„szalonej produkcji".** Pytam Panów Kutów, jak śmią biadać nad „człowiekiem-niewolnikiem maszyn", „znużonym zmechanizowaną pracą, nie dającą mu twórczego zadowolenia"? Co znaczy ta filozofia, głoszona w roku 1946, w organie Wiciarzy-Akademików, a potem w „Wiciach" organie młodzieży terenowej?

Jagła mówi dyskretniej: „wszelki ucisk" — pan Kut wyraźniej: „człowiek-niewolnik maszyny". Jagła — „wszelkie skoszarowanie umysłów" — tamten — „znużenie zmechanizowaną pracą", którego wynikiem jest rozstrój objawiający się w cywilizacji urbanistycznej w „nieustannych konfliktach między pracą a kapitałem". Ot, wynalazł środek cudowny: usuńcie miasta, a nie będzie walki klasy robotniczej z kapitalizmem.

Oto panowie Kuty i Jagły. Są oni wykładnikiem dobrze nam znanego poglądu: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna". Przed pół wiekiem stan ten leżał w interesie wyzyskiwaczy wsi, dziś leży w interesie „przodownków młodzieży wiejskiej". Co to znaczy? Znaczy to, że w obliczu historii ci urzędnicy Związku Młodzieży Wiejskiej nie są jej przodownikami. Nie umieją myśleć kategoriami spraw całego narodu, w który weszła dziś wieś. Kapitalizm był im straszny tylko w postaci trustów i karteli, zasłyszane wieści o cywilizacji technicznej na tym stopniu kapitalizmu — przerażające.

W konsekwencji, z miną rewolucjonistów, cofnęli się od „kapitalizmu finansowego" do kapitalizmu drobno-produkcyjnego, przyklepując stan ‚jaki wieś przeżywa od czasów zniesienia pańszczyzny. Zapóźniona faza wolnokonkurencyjnego liberalizmu w stosunku do światowych mocarstw kapitalizmu imperialistycznego oznaczać może jedno tylko — los pół-kolonii, indyjski Ghandyzm. I ci sami wmawiają sobie i innym ‚że tacy chłopi Polskę stworzą „do niebieskich pował". Wielki przemysł przeraża ich, nie rozumieją jakim błogosławieństwem stać się może w ludowej, uspołecznionej gospodarce.

Przeraża ich tempo, skomplikowanie, bo chcieliby prostych przebiegów „domowej gospodarki", niezależności w pichceniu według tradycyjnych wzorów, pod batutą praw przyrody, wolni, „z wolą boską", po za rytmem budowania się nowoczesnej przemysłowo-rolnej Polski, poza czasem świata, który na nas napiera. Chcieliby, jak pisze Grad: „wciągnięcia umysłów w konkretną pracę, w realizowanie programu wypracowanego **głównie przez pokolenia poprzednie".**

5. KOMPLETNA JAŁOWOŚĆ — „WŁAŻĄ W KORZENIE"

Jest to tragiczny obraz zrzeczenia się przez tych pseudo-reprezentantów drugiego pokolenia wiciarzy osobistej odpowiedzialności za los wsi i narodu. Żyją na koszt zdobyczy i błędów pokoleń poprzednich. Zdobycze należą już do przeszłości historycznej, błędy można wciąż siać od nowa. I sieją. „Wciąż — jak pisze Kut — nie zgadzamy się, kwestionujemy, stwierdzamy, że ten lub tamten pogląd nam nie odpowiada, a jakoś nie zdolni jeszcze byliśmy do postawienia w formie zrozumiałej dla wszystkich i naukowej tez swojego chłopskiego światopoglądu. Oczywiście nie znaczy to, że go nie ma, tylko nie jest dość wszechstronnie przemyślany i sformułowany jasno". I nie będzie — panowie — sformułowany, kiedy się włazi we „własne korzenie". Kiedy się duszy chłopskiej szuka „w klechdach, opowiadaniach, pieśniach i przysłowiach ludowych, w okresie, kiedy tandetna kultura, myśl i czucie, szlachecko - mieszczańskie nie skrzywiło jeszcze psychiki ludu". Panowie przestańcie żyć z emerytury, jaką wam daje historia wsi. Tamte pomniki mówią o twórczości ówczesnej wsi, Wasze „włażenie w korzenie" mówi o waszej kompletnej **współczesnie jałowości.** Podpierać Wam popańszczyźnianej wsi nie damy! Odbierać młodzieży energii i entuzjazmu — również nie! Ona wytrzymuje „przyśpieszone tempo skomplikowanego życia". Rwie się do niego. Szanuje wkład pokoleń minionych, ale dlatego ma ambicję wkładu własnego pokolenia. I to ambicję proporcjonalną do zapotrzebowania rzeczywiście „dziejowego momentu".

„Cóż razem z gackimi koszykarzami mógł jeszcze zbudować chrzestny Solarz. Jeszcze jeden szpital wiejski, może dom dziecka, wszechnicę, może ogromną spółdzielnię?" — pyta Franciszek Gil.

To jest ta Wasza jeszcze najlepsza tradycja, najlepsza droga. Ale czas zrozumieć, że w terminie w jakim apostołowie z Gaci mogliby stworzyć jedną placówkę — Związek Samopomocy Chłopskiej szybciej i lepiej zbuduje tysiące spółdzielni, tysiące szkół i ośrodków zdrowia. Że bez wielkiego planu z góry, bez wielkiego rozwoju przemysłu, bez wielkich kadr fachowców wsi nie przemienimy, nie zjednoczymy jej z klasą robotniczą w jeden świat pracy, gwarantujący **nową demokrację ludową Polski.** I do tych to nowych, szerszych, wyższych, narodowych zadań mamy obowiązek dziś entuzjazmować młodzież wiejską. Bo w Polsce Ludowej **ludowe** jest to, **co narodowe!**

*) Przedrukowujemy artykuł powyższy z Nr 50—51 tygodnika „Wieś", pismo to w wielu artykułach (szczególnie J. A. Króla i Cieślaka) walczy o rewizję ideologii ruchu chłopskiego, o jej radykalizację i usamodzielnienie. Zwracamy uwagę naszych czytelników na te dążenia w ruchu chłopskim stanowią one bowiem równoległy od naszego wysiłek zmierzający do oczyszczenia naszej kultury z mieszczańskich, schyłkowych i irracjonalistycznych, idealistycznych tradycyj.

11756-A

STEFAN LITAUER

Sytuacja świata pracy w Ameryce po ostatnich wyborach

ZWYCIĘSTWO partii republikańskiej w wyborach do Kongresu w St. Zjedn. Ameryki Północnej wysunęło na czoło zagadnień polityki wewnętrznej widoki amerykańskiej klasy robotniczej na przyszłość. W wyborach nie tylko zwyciężyła partia republikańska, ale zwyciężyli w pierwszym rzędzie najbardziej konserwatywnie i reakcyjnie usposobieni działacze republikańscy. W wyborach tych przegrał bardziej postępowy odłam republikański z ich przywódcą Haroldem Stassenem na czele, zwyciężyli zaś zdecydowani twardzi reakcjoniści typu Tafta, Brickera i Vandenberga.

W tych warunkach nikt nie wątpi, że zwycięzcy republikańscy podejmą atak na spuściznę znienawidzonego przez nich Prezydenta Roosevelta, na t.zw. New Deal, a raczej na to, co z reform „nowego ładu" Roosevelt owskiego pozostało jeszcze przy życiu, a więc przede wszystkim na zrodzone z New Deal'u przywileje świata pracy. Spornym może być tylko termin, w którym atak ten zostanie podjęty, a mianowicie — czy przywódcy republikańscy skorzystają od razu z pierwszej nadarzającej się sposobności jakiegoś większego strajku powstrzymującego produkcję, aby wprowadzić w życie drastyczne ustawy antystrajkowe; czy też, w obliczu wyborów prezydenckich w listopadzie 1948 r., w których zwycięstwo przekaże im w ręce władzę nieograniczoną na conajmniej dalsze cztery lata, zdecydują się odwlec rozgrywkę z klasą robotniczą, aby nie zrażać sobie świata pracy w wyborach prezydenckich.

Gra na zwłokę nosi w sobie z republikańskiego punktu widzenia, ten niebezpieczny zarodek, że daje klasie robotniczej pewien oddech, z którego może ona skorzystać, aby w ciągu tych 2—3 lat wyjść z impasu wewnętrznego rozbicia i stać się potężną jednolitą i zjednoczoną organizacją której sparaliżowanie nie byłoby już takie łatwe.

Należy sobie bowiem uświadomić, że klasa robotnicza w Ameryce nie jest po dziś dzień ani zjednoczoną, ani jednolitą, i dlatego nie zdołała jeszcze wytworzyć potęgi odpowiadającej pięćdziesięciomilionowej rzeszy robotniczej, z której liczba zorganizowanych, a więc świadomych swojej odrębności klasowej, wynosi tylko piętnaście milionów.

Pierwszą organizacją zawodową świata pracy była powstała w r. 1881 American Federation of Labour (Amerykańska Federacja Pracy), w skrócie znana wszędzie jako AFL. Ta inicjatywa obrony interesów klasy robotniczej nie była jednak kompletną, gdyż zrzeszała tylko robotników wykwalifikowanych i rzemieślników, nie obejmując wzrastające z roku na rok masy robotników niewykwalifikowanych. W miarę rozwoju produkcji masowej powiększała się również liczba robotników niewykwalifikowanych. Dzisiaj, w wielkich amerykańskich fabrykach masowej produkcji samochodów, blaszanek do konserw, opon stali etc. przeszło 40 proc. robotników nie wymaga w ogóle żadnego nauczania fachowego, blisko drugie tyle zaspokaja potrzeby danej produkcji treningiem jednotygodniowym, 15 proc. wymaga treningu od trzech miesięcy do jednego roku, a tylko 2 proc. — treningu ponad jeden rok. Toteż w okresie przed pierwszą wojną światową najwyżej pięć procent robotników należało do AFL.

Ten stan rzeczy, odbił się bardzo ujemnie na wzroście znaczenia organizacji zawodowych klasy robotniczej i opóźnił ich rozwój.

Po pierwszej wojnie światowej, w okresie piętnastolecia 1920—1935, gdy Ameryka przechodziła najpierw zawrotną koniunkturę gospodarczą wyrażającą się w olbrzymim wzroście produkcji masowej, a potem — szaloną depresję, której skutkiem było 10 milionów bezrobotnych, niezaspokajanie elementarnych zasad obrony praw mas robotniczych przez AFL stało się faktem tak oczywistym, że musiało wywołać pewną reakcję. Na kongresie AFL w listopadzie 1935 r. doszło wreszcie do rozłamu, wskutek którego szereg związków zawodowych wystąpiło z AFL, łącząc się w nową organizację „Congress of Industrial Organisations", znaną dzisiaj w skrócie jako CIO. Naczelnym zadaniem tej nowej organizacji było zrzeszanie zaniedbanych przez AFL mas robotników niewykwalifikowanych. Pole do tego rodzaju działania zostało otwarte przez fakt utrwalenia się już w tym okresie rządów Roosevelta i inicjatywę New Deal'u w kierunku rozszerzania praw i przywilejów świata pracy.

W czerwcu 1935 r. Kongres Amerykański wprowadził w życie ustawę, regulującą zagadnienie uprawnień organizacji robotniczych. Ustawa ta, „National Labor Relations Act", znana powszechnie jako „Wagner Act" (senator demokratyczny Robert Wagner był jej projektodawcą) przyznała robotnikom „prawo do organizowania się, tworzenia lub współdziałania w tworzeniu organizacji robotniczych i do zbiorowego układania się co do płac przez przedstawicieli z własnego wyboru". Pracodawcom ustawa ta zabroniła ograniczać w czymkolwiek robotników w korzystaniu z przyznanych im przywilejów. Pracodawcom zabroniono również wywierać jakikolwiek wpływ na organizacje robotnicze lub popierać je finansowo, a zwłaszcza stosować dyskryminację w warunkach pracy jako środka zachęcania lub zniechęcania do przystępowania do poszczególnych organizacji robotniczych. Robotnicy, którzy występowali ze skargami przeciw pracodawcom lub stawali jako świadkowie w sporach wynikłych z tej ustawy, nie mogli być pozbawieni pracy, a pracodawcy nie mieli prawa odmawiać zbiorowego układania się co do płac i warunków pracy z wyznaczonymi w tym celu przez robotników przedstawicielami.

Dla rozstrzygania sporów wynikających ze stosowania Wagner Act powołano do życia National Labor Relations Board w składzie trzech członków mianowanych przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dla wymuszenia posłuchu dla swych decyzji urząd ten posiada prawo skierowania sprawy do sądów, w którym to wypadku w najwyższej instancji ostateczne orzeczenie wydaje Sąd Najwyższy, posiadający nawet moc nakładania kary więziennej.

Ustawa powyższa natrafiła rzecz oczywista na zdecydowany opór pracodawców, którzy usiłowali zakwestionować Wagner Act jako niekonstytucyjny i odwołali się do Sądu Najwyższego, który jednak w słynnym swoim orzeczeniu z 12 kwietnia 1937 roku uznał prawomocność ustawy.

Wagner Act otworzył drogę do rywalizacji pomiędzy AFL a CIO. Obydwa związki zapoczątkowały wyścig o pozyskanie członków, obiecując wywalczenie lepszych płac i dogodniejszych warunków pracy. Rywalizacja ta wzrasta i odbywa się pewnego rodzaju licytacja in plus, co jest często podłożem powtarzających się w krótkich odstępach strajków w jednym i tym samym przemyśle. Gdy w czerwcu 1946 r. należące do CIO związki zawodowe żeglugi morskiej uzyskały od armatorów podwyżki płac o 17,50 dolarów ponad dotychczasową płacę 145 dolarów miesięcznie, związki robotników żeglugowych zrzeszonych w AFL wystąpiły również o podwyżkę i uzyskały od armatorów o 5—10 dolarów więcej niż poprzednio związki CIO. Gdy jednak podwyżka ta została odrzucona przez Urząd Stabilizacji Płac, który czuwa nad podwyżkami płac, gdyby interesy państwa jako właściciela znacznej większości pozostałych z wojny statków uległy zagrożeniu, związki AFL ponownie zastrajkowały i ostatecznie podwyżkę uzyskały. Spowodowało to znowu strajk związków należących do CIO, który zakończył się uznaniem również ich żądań.

Dzisiaj siły AFL i CIO są mniejwięcej równe, z nieznaczną jeszcze przewagą AFL. W związkach AFL zorganizowanych jest siedem milionów robotników, w związkach CIO jest 6 i pół miliona. Ponadto, istnieją jeszcze związki niezależne wzgl. autonomiczne. Takim związkiem autonomicznym jest potężna organizacja górników Mineworkers Union pod wodzą Johna Lewisa, licząca 600.000 członków, która luźno tylko związana jest z AFL. Związkami całkowicie niezależnymi, idącymi zupełnie własnymi drogami są wszystkie, pół miliona członków liczące, organizacje kolejarzy, zrzeszonych w poszczególne „bractwa" jak Brotherhood of Railroad Trainmen, Brotherhood of Locomotive Firemen and Enginemen, Brotherhood of Locomotive Engineers etc. Również robotnicy zakładów użyteczności publicznej jak gaz i elektryczność, podobnie niektóre organizacje funkcjonariuszów państwowych tworzą związki niezależne.

W AFL największymi organizacjami są związki robotników budowlanych, stolarzy, cieśli, mechaników, obsługi hotelowej i restauracyjnej, przemysłu odzieżowego oraz transportu ulicznego i drogowego jak szoferów, obsługi tramwajów i autobusów.

W CIO najpotężniejszymi są związki zawodowe robotników samochodowych, fabryk stali, włókienniczych i gumy. W przemyśle żeglugowym siły obu organizacji są równe.

Charakterystyczną cechą amerykańskiego ruchu robotniczego jest po dziś dzień brak w nim pierwiastków politycznych. Zarówno AFL jak i CIO, a także Związek Górników i Bractwa Kolejowe są organizacjami mającymi na celu tylko i wyłącznie obronę interesów zawodowych reprezentowanych przez nie związków. Chodzi o zagwarantowanie robotnikom należącym do tych związków pełnego zatrudnienia, wystarczających płac, odpowiednich warunków pracy, ubezpieczeń społecznych i zapomóg na wypadek bezrobocia. Opiekowanie się tymi sprawami zagwarantowane jest tym organizacjom robotniczym statutowo, t.j. na mocy ustaw zatwierdzonych przez Kongres. Najważniejszym jest przyznany w ramach Wagner Act przywilej występowania z ramienia pracobiorców o umowy zbiorowe z pracodawcami. Ale oprócz tej ustawy świat robotniczy ma do zanotowania jeszcze szereg innych osiągnięć ery Rooseveltowskiej. Ustawa o płacy i godzinach pracy (Wagner and Hour Law) reguluje wiek dopuszczenia do pracy w określonych przemysłach, znosząc równocześnie pracę dzieci poniżej lat 14, ustanawia maksymalne godziny pracy i minimalne stawki płac. Ustawa ubezpieczenia społecznego (Social Security Act) wprowadza ubezpieczenie na starość, zapomogi dla bezrobotnych oraz pomoc dla chorych i kalek. Ustawy te jednak ograniczone są w zakresie swego działania pewnymi klauzulami prawnymi, które sprawiają, że usiłowania wykroczenia poza ramy przedawnionych umów zawartych w swoim czasie na podstawie tych ustaw, mogą ulec sparaliżowaniu przez zastosowanie sankcji karnych na wypadek uchybienia. Podobna sytuacja zaistniała niedawno gdy John Lewis wystąpił z groźbą strajku w razie odmowy zawarcia nowej umowy o płace górników i gdy na podstawie klauzul formalnych pociągnięty został wraz ze związkiem górników do odpowiedzialności sądowej za nieprzepisowe jakoby wymówienie umowy obowiązującej i poparcie żądań górników strajkiem. W tej jak i w innych sprawach z całą jaskrawością odbił się ujemnie fakt, że organizacje robotnicze w Ameryce nie posiadają odpowiednika politycznego który by żądania ich poparł w Kongresie, gdzie reprezentacja świata pracy po prostu nie istnieje. Albowiem, ani partia republikanów, ani też partia demokratów nie mogą pretendować do roli politycznych wykładników świata pracy. Istnieją coprawda poszczególni senatorowie demokratyczni jak Pepper, Kilgore lub Murray, którzy znani są ze swych wystąpień w obronie świata pracy. Istnieje nawet radykalna grupa polityczna, niepozbawiona pewnych wpływów w Nowym Jorku, a znana pod nazwą Amerykańskiej Partii Pracy (American Labour Party), ale z ramienia tej partii zasiada w Izbie Reprezentantów tylko jeden poseł — Amerykanin pochodzenia włoskiego Marcantonio. Ten stan rzeczy jest dobitnym potwierdzeniem faktu, że dotąd świat pracy nie zdołał stworzyć własnej reprezentacji politycznej.

Najpoważniejszą zresztą próbą w tym kierunku okazała się powołana do życia w lipcu 1943 r. organizacja polityczna CIO — t.zw. Komisja Akcji Politycznej (Political Action Committee), znana w skrócie jako PAC. Przywódcy CIO, odznaczający się bardziej postępowymi poglądami i większym zmysłem politycznym aniżeli leaderzy konkurencyjnej i bardziej konserwatywnej AFL, zrozumieli, że dla obrony zdobyczy świata pracy w zakresie samodzielności i niezależności ruchu robotniczego nie wystarczy walka społeczno-gospodarcza, lecz że dla zagwarantowania tych zdobyczy należy zapewnić sobie należyty wpływ polityczny w Kongresie i w Administracji zarówno Stanowej jak i Federalnej. Drogą do tych wpływów mogło być tylko zapewnienie organizacjom robotniczym pewnej ingerencji w sprawy wyborów, przede wszystkim do Kongresu oraz na Prezydenta USA. PAC powstała przeważnie, aby zapewnić Rooseveltowi ponowny wybór na Prezydenta w r. 1944. Akcja ta dopięła swego i odtąd PAC znacznie wzmogła swoje wpływy jako instrument mobilizacji politycznej świata pracy. Wpływy te jednak w dużym stopniu związane były osobowo z twórcą i przywódcą PAC, Sydneyem Hillmanem, bezsprzecznie najwybitniejszą postacią amerykańskiego ruchu robotniczego. Niestety Sydney Hillman zmarł przedwcześnie w lipcu 1946 r., osierocając organizację, której był i mózgiem i organizatorem. Myślą przewodnią Hillmana było stworzenie zarodka organizacji, która byłaby w stanie ściągać do siebie wszystkie elementy postępowe i radykalne, aby w przyszłości powołać z nich do życia trzecią partię. W odróżnieniu do partii demokratycznej, w której przemożne są wpływy „demokratów" z Południa, najbardziej zacofanych reakcyjnych elementów Ameryki, trzecia partia, o jakiej myślał Hillman, miała stać się partią prawdziwie postępowo lewicową. Dzisiaj, po śmierci Hillmana lewica postępowa uważa za swojego leadera Henry Wallace'a, który jednak nie posiada tych zalet wodza, jakie cechowały skromnego Hillmana.

Wallace jest typowym Amerykaninem anglosaskim, Middle West'u, oryginalnym, paradoksalnym emocjonalnym, ale nie stać go na rewolucyjne mocne posunięcia, bez jakich trzecia partia w Ameryce powstać nie może. Wallace ostro smaga publicznie, niedostatecznie postępową politykę partii demokratycznej, ale nie zrywa z partią tą, pozostając jej lojalnym członkiem. A trzecią partię stworzyć można w Ameryce tylko przez oderwanie od partii demokratycznej jej elementów postępowo-lewicowych i zdemaskowanie w ten sposób tronu południowego tej partii jako ośrodka reakcji i zacofania. Tylko na tej drodze trzecia partia stać się może tym, do czego byłaby powołaną, a mianowicie reprezentacją polityczną amerykańskiego świata pracy.

Stefan Litauer

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„KSIĄŻKA"

NOWOŚCI

MAKARENKO ANTONI
Poemat pedagogiczny
3 tomy — zł. 570. —

LEŚMIAN BOLESŁAW
Wybór poezji
zł. 210. —

FRIDMAN F.-HOŁUJ T.
Oświęcim
zł. 300. —

„KSIĄŻKA"

ELSA TRIOLET

PIERWSZY KONTAKT*)

Przekład JULII HARTWIG

SPOTKANIE z tą kobietą okazało się dla nich błogosławieństwem. Tak zwykle bywa: czasem wydaje się człowiekowi, że nie ma już żadnego wyjścia, i nagle zdarza się coś, co go ratuje z tej sytuacji... Ludwika Delfort mieszkała sama za miastem, w willi należącej do tutejszego przemysłowca, który bawił w owej chwili na wakacjach. Przemysłowiec zarobił dużo pieniędzy w ciągu ostatnich trzech lat... Mówiąc po prostu, zajmował się handlem na czarnym rynku. Ludwika mówiła z prostotą, że czuje się u niego zupełnie bezpieczna, gdyż należy on do tych ludzi, którzy są zawsze po stronie zwycięzców, zdaje więc sobie sprawę z tego, że fortuna jest zmienna i nie zaniedbuje żadnych środków ostrożności: ukryć kogoś takiego jak ona, to nie najgorsza gwarancja.

Willa była całkiem nowa, radio, książki, ogród z kwiatami, wielkie drzewa.

W te upalne dni siedzieli w domu, w chłodnych pokojach. Radio mruczało w przerwie między wiadomościami słodkie i głupie piosenki, Ludwika kurzyła papierosy jak saper, opowiadała różne historyjki... Przed wojną pracowała w wielkim dzienniku, wiedziała zatem o rzeczach, o których Sławscy nie mieli pojęcia, znała wielu ludzi... Jakże się naurągali na intelektualistów i Paryżan, i oto co za ulga znaleźć taką Ludwikę Delfort, po pani Loiseau, albo sąsiadach z radiem! Byli tacy znużeni towarzystwem obcych ludzi, wieśniaków lub prowincjuszy! Znużeni prowincjuszami, nawet jeśli to intelektualiści, znużeni mieszczuchami, nawet jeśli to Paryżanie... Słowem mieli już dość rozmów z ludźmi innego świata, z obcego im środowiska. To dobre na chwilę, to nawet może być interesujące i pouczające! Ach, odnaleźć znowu tę swobodę słowa, sądu, nie być już skazanym na ograniczenia, nie liczyć się z poziomem umysłowym i wykształceniem rozmówcy, nie doznawać już więcej wrażenia, że to co mówicie zatrzymuje się na progu czyjegoś mózgu nie docierając doń. Mówić, nie będąc zmuszonym do robienia „odnośników na dole stronicy", jak mówiła Ludwika Delfort, móc sobie pozwolić na każdą aluzję... Może to nie jest istotne w życiu wiedzieć o istnieniu Picassa, Matisse'a, Maillol'a, ale nie da się zaprzeczyć, że ci, którzy ich znają i wzruszają się nimi, mają jakąś wspólną cechę. Przynajmniej Aleksy tak sądził i wolał owych ludzi od innych... A jaki był zadowolony, gdy mógł mówić o Arno Breckerze słowami, jakie mu odpowiadały i do kogoś, kto wiedział kim jest Brecker, i mógł ocenić te słowa, dzielić z nim oburzenie wobec pustej elokwencji tego rzeźbiarstwa, podobnego do olbrzymich melonów, o których mówi się po spróbowaniu: to dynia! Móc się śmiać z tych samych rzeczy! Ach, cóż za radość móc się śmiać z tych samych rzeczy! Mieć te same nawyki w sposobie jedzenia, mycia się! Jakie odprężenie, co za ulga! Sławskim, którzy od tak dawna byli pozbawieni rozmów intelektualnych i towarzystwa, wydawało się, że Ludwika posiada oprócz własnych zalet wszystkie cechy Paryżanki, inteligencję, kulturę i polor, piękność i umiejętność posługiwania się nią... Co za umysłowość wykwintna i cyniczna, jaka elegancja w słowach i gestach, jaka chłodna szczerość, jaki tupet!

Mimo obrażonej miny pani Loiseau. Sławscy spędzali czas w willi Ludwiki i najczęściej jadali tam również: Ludwika lubiła dobrze zjeść i rywalizowała z Henryką w kucharskich talentach.. Pewnego dnia Aleksy przyniósł swe pudło z farbami do willi, zakwaterował się w pawilonie na końcu ogrodu i zaczął zażarcie pracować. Był prawie szczęśliwy, przybierał na wadze z dnia na dzień. Henryce też nic nie brakło, skoro Aleksy był zadowolony i pracował. Gdyby nie te wieczne zmartwienia z powodu pieniędzy: ten typ nie tylko nie przysyłał należności, ale nawet nie pisywał do nich. Ludwika była zawsze jednakowa, uśmiechnięta i uprzejma. Jednak między nią a Aleksym zaszło pewne nieporozumienie, było to tego dnia, gdy Aleksy, rozmawiając z nią o zwycięstwie i okresie powojennym, powiedział, że zemści się kiedyś za zło jakie mu wyrządzono i że każdy ma swoją małą listę. Twarz Ludwiki nabrała wówczas nieznanego im wyrazu, jej ciepły głos stracił całą swą aksamitność:

— Więc spodziewa się pan, że w dniu zwycięstwa wyjdziecie ze swego schronienia i będziecie liczyć skalpy? Chcecie zaspokoić pragnienie zemsty, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo? Inni dostarczą wam do tego sposobności za cenę swego życia? Lepiej niech pan nic nie mówi, wy nie macie prawa do zemsty! Kiedy się pana słucha, wydaje się jakby cała ta wojna została rozpętana jedynie po to, aby panu osobiście zrobić przykrość! Wszystkie posunięcia były wymierzone tylko przeciw panu! Śmieszne! Straszne! Co wy wiecie o nieszczęściach wojny.

Aleksemu zaparło oddech:

— Ależ... Przecież... — wykrztusił wreszcie — więc nie będę miał żadnego prawa, nawet po zwycięstwie?

Popatrzyła na niego uważnie: tkwił przed nią jak szmata porzucona na krześle, bez mięśni, z zapadłymi policzkami, z twarzą pooraną bruzdami i zmarszczkami, blady, bez śladu opalenizny, która nie czepiała się jego skóry.

Zepsuty i starzejący się uczniak..

— Owszem, będzie pan miał prawo malować dobre obrazy — powiedziała odwracając wzrok.

Przez całą noc Aleksy kręcił się na łóżku, nie mogąc usnąć... A Henryka, cóż ona o tym myślała? Henryka myślała, że nie wszyscy mogą chwycić za karabin, że nie potrafi sobie wyobrazić, czym Aleksy mógłby przyczynić się do zwycięstwa... Zresztą, co też właściwie robią ci ludzie, którzy, jak to się mówi, uprawiają opór? Gdzie są, po czym ich się poznaje? Spotkali Ludwikę, ale było to pierwsze spotkanie z kimś, kogo posądzali o działalność. Ale co ona robiła, co właściwie mogła robić? Czy rzeczywiście coś robiła? W każdym razie nie mówiła o tym nigdy, równie jak nie mówiła o więzieniu, czy obozie, w którym spędziła osiemnaście miesięcy, gdyż napełniało ją to przerażeniem, jak utrzymywała. „Ludzie są odważni, dopóki się nie sparzą, ale zapewniam was, jeśli się przeszło przez to co ja..." — mówiła. — Mimo to dwukrotnie wyjeżdżała na czterdzieści osiem godzin bez żadnych wyjaśnień: brała swój rower i już jej nie było... Gdyby zażądała on nich czegoś, zrobiliby to pewnie... „Wydaje mi się... — mówił Aleksy — że gdyby to leżało w moich możliwościach... cóż kiedy nie jestem jeszcze zdrowy...". Ale nikt od nich niczego nie żądał. Jakże to się odbywa, ta sprawa oporu? Nie mieliby odwagi zapytać Ludwiki, byłaby to niedyskrecja. Aleksy, bardzo poruszony, wracał wciąż do tej myśli, że należy jakoś działać, że nie powinien tracić swych praw wobec kraju... „Nie chodzi o twoje prawa, chodzi o wyzwolenie kraju" — powiedziała Henryka z pewnym uniesieniem, które jednak natychmiast przygasło: Ludwika nie uwzględniała w dostatecznej mierze tego, że Aleksy przebył dłuższą chorobę. Nie zdawała sobie sprawy, że jest wielkim malarzem i musi ocalić swoje dzieło... Malarstwo nie jest specjalnością Ludwiki... Jego dzieło? Aleksy wahał się, nie był tak bardzo przeświadczony o wartości swego malarstwa. Henryka protestowała... Usnęli dopiero nad ranem.

Ale nazajutrz Aleksy zapomniał o tych skrupułach: namalował mały obraz, który go zadowolił niemal całkowicie. Tego samego dnia nadeszła wieść, że alianci zajęli Pantellarię! Jest więc nadzieja, jest nadzieja! Ludwika przymykała głębiej niż zwykle podkrążone oczy, jakby raziło ją światło. A przecież światło przeciskało się tu z trudem przez zamknięte okiennice... Wysłuchiwali wszystkich możliwych informacji radiowych i odpoczywali teraz siedząc we dwoje w wygodnie pochyłych krzesłach. Radio szumiało jak imbryk pośród głębokiej ciszy, prawdziwej ciszy wiejskiej. Aleksy wziął Ludwikę za rękę. Siedzieli tak bez ruchu, bez słowa... Może w obawie, że spłoszą złudzenie minionych czasów, gdy jeszcze miało się prawo do złudzeń...

Henryka wróciła zdyszana, czerwona i spocona, pojechała rowerem Ludwiki do domu, aby się dowiedzieć czy nie ma listów. Nie było. Ludwika podniosła się natychmiast, aby ją zaprowadzić pod prysznic, dać jej ręcznik, puder... Skończyło się.

Co się skończyło? Nigdy nie mówili już o tym.

Pewnego dnia, gdy szli rankiem do willi Ludwiki, zobaczyli ją zdaleka, jak dawała im jakieś niezwykłe znaki: lądowanie na Sycylii! Tak, tak, ze spadochroniarzami i trzema tysiącami okrętów, całe kilometry okrętów. Ludwika była tak podniecona, że kręciła się jak fryga, przesuwała meble, piła olbrzymie szklanki wody... Aleksy zapomniał o płótnach, pendzlach, spędzili dzień wisząc przy radioodbiorniku. Wreszcie lądowanie, prawdziwe!

Każdy następny dzień przynosił dobrą nowinę. Tymczasem Aleksy zabrał się znów do pracy. Złożył na Ludwikę obowiązek słuchania i szczegółowego opowiadania wiadomości; ona nigdy niczego nie zapominała, miała świetną pamięć i niezwykłą zdolność skupiania uwagi.

Henryka w dalszym ciągu martwiła się o pieniądze. Było ich coraz mniej. Wreszcie korzystając z tego, że ostatnie dni przyniosły dobre wieści, zaczepiła Aleksego o sprzedaż jednego z obrazów. I, o dziwo! „Gwiżdżę sobie na to, powiedział Aleksy, sprzedawaj co chcesz, namaluję inne!". Zdarzyło się to na drodze do „Kalifornii". Poszli tam we troje na spacer i oto chroniąc się przed żarem słońca usiedli na niskim murku przydrożnym, postawili obok siebie kosz złotych brzoskwiń, kupionych w miejscowości Beau Fruit, i zażywali chłodnego cienia, padającego od wielkich drzew. Wtedy zobaczyli z daleka sylwetkę Niemca... Tak, to był z pewnością Niemiec, i to szarża, „płaska czapka". Zbliżał się ku nim. Nie był sam... Za nim szedł jakiś cywil i drugi Niemiec, żołnierz w hełmie.

Patrzyli jak zbliżają się, przechodzą i oddalają trzej ludzie: „Płaska czapka" dobrze odżywiony, wysoki i barczysty, ze skórzaną teczką w ręce; młody mężczyzna w wieku lat około dwudziestu, tak blady, jak tylko może być blada istota żyjąca, niósł dwie mizerne walizeczki i to z trudem, gdyż rączka jednej z nich urwana była z jednej strony; za nim żołnierz z karabinem na ramieniu. Widziany z przodu młody chłopak wydawał się przyzwoicie ubrany, miał na sobie ciemny garnitur; gdy przeszedł można było dostrzec dwie wielkie jasne łaty na spodniach. Szedł z trudem, człapiąc w starych zbyt wielkich butach, gołe pięty obtarte miał do krwi. „Płaska czapka" posuwał się żwawym krokiem i mówił głośno: Kiedy się ich zaczepi (Ludwika rozumiała po niemiecku) udają wszyscy idiotów, nie rozumieją ani słowa, ale w końcu zawsze się okazuje, że rozumieją. Ile ten ma lat? Co ma w papierach?" — „Dwadzieścia" —odpowiedział żołnierz.

Ludzie mijający ich spuszczali oczy... „Ten jest gotów..." — powiedział starszy robotnik w niebieskim ubraniu tak wyreperowanym, że trudno było poznać co jest ubraniem a co łatą... Młodzieniec, który szedł obok niego, nie mówił nic i ocierał pot spływający z czoła...

— Mój Boże... ta oderwana rączka... co za nieszczęście, co za nieszczęście...— wyrzekła Henryka słabym głosem. — Zabierają człowieka na oczach wszystkich, w biały dzień.

— Gdyby było kilku śmiałków... Rzucić im rower pod nogi. Ilu ich w ogóle jest w okolicy! — Głos Ludwiki stał się suchy, twarz nabrała twardego wyrazu, który pojawiał się u niej od czasu do czasu, jak skała spod łagodnych wód.

Tym razem zrobiło to dobrze Aleksemu, poczuł się jakby wzięty pod opiekę, ale trzeba przyznać, że zaczynał bać się już trochę Ludwiki.

Wrócili do willi wszyscy troje milczący. Nic szczególnego w radio. Ludwika zostawiła ich samych, słyszeli jak chodzi tam i z powrotem po sąsiednim pokoju. Przez radio nadawano muzykę kameralną. To radio francuskie, prawdziwa hańba! Zupełnie jak na tarasie prowincjonalnej kawiarni, gdzie orkiestra i słuchacze noszą mankiety i kołnierze z celuloidu. Gdy się równocześnie ma w kraju takich artystów...

— Mój Boże, — powiedziała Henryka — mam serce ciężkie, jak z ołowiu — położyła obie ręce na sercu i zamknęła oczy — mam serce ciężkie jak ołów...

Podkrążone oczy pochłaniały jej połowę bladych policzków. Aleksy odczuł niewyraźną trwogę: Żeby się chociaż nie rozchorowała, nigdy nie widział jej chorej. Ale oto Ludwika ukazała się w drzwiach z jakimiś kartkami w ręku. „Przeczytajcie to!" — powiedziała, rzucając je im na kolana. Po raz pierwszy widzieli tajne gazetki. Dotykali ich z lękliwym nabożeństwem. Było w tych kartkach coś elektryzującego, coś co uderzało do głowy. Te literki na pół zatarte na złym szarawym papierze, słowa, ubogie słowa, które niosły przez kraj, nie mogłyby dokonać więcej niż samo już istnienie tych kartek: kartki, które nakazują szaranek, są świadectwem tragicznej odwagi bezbronnego tłumu... Aleksy dotykał ich wzruszony, nie pragnął ich czytać, zdawało mu się, że to nie jest stworzone do czytania. Ale Ludwika nalegała: „Czytajcie".

...„Oświęcim... Obóz powolnej śmierci"... 10,000 więźniów ze wszystkich krajów okupowanych, mężczyzn i kobiet, wielka ilość Francuzów... 300 ludzi na barak, po siedmiu na jednej pryczy, na nigdy nie zmienianej słomie... ubranych w pasiaki opatrzone numerem, który jest wytatuowany również na piersiach... Nikt nie ma prawa do własnej łyżki lub kubka. Baraki bez światła, wieczorny chleb trzeba jeść w ciemności. Czternastogodzinny dzień pracy dla wszystkich, chorych, ułomnych i kobiet. Więźniowie pracują nad rozbiórką miast: Gliwic i Oświęcimia. Kobiety osobno pod strażą żołnierzy i policyjnych psów. Trzy ustępy dla 10,000 uwięzionych, parę umywalni, natryski raz na miesiąc... Bielizna nigdy nie zmieniana... Dozorcy rekrutują się z przestępców niemieckich, wymiar kar cielesnych jest zdany na ich brutalność. Pejcz jest ich ulubionym narzędziem.

W poprzednim numerze opisywaliśmy jak w styczniu b. roku wywieziono z obozu Romainville 100 Francuzek, pośród których znajdowały się również intelektualistki... 26 spośród tych kobiet to wdowy po zakładnikach... Są w Oświęcimiu...

Francuzka ścięta toporem.

„Topór hitlerowski ukazał się we Francji.

Na dziedzińcu więzienia Fresnes ścięto po raz pierwszy toporem francuską głowę. Los ten spotkał intelektualistkę francuską, wyznania protestanckiego, matkę rodziny... Pani Albrecht znana była w uniwersyteckich kołach Paryża. Osłupienie i zgroza ogarniają na myśl, co mogło skłonić katów hitlerowskich, aby tę wybitną i inteligentną kobietę uczynić pierwszą męczeńską ofiarą podobnej zbrodni, tak jakby barbarzyństwo to miało symbolizować zamiar ścięcia naszej kultury ciosem topora.

Kartki te przeznaczone były do czytania! Trzeba to przeczytać i zapamiętać... Pożegnali się wcześniej, niż zwykle.

---

*) Zbiór nowel Elzy Triolet Le premier accroc coute deux cents francs", odznaczony w r. 1945 nagrodą Goncourtow, ukaże się wkrótce w przekładzie polskim, nakładem „Czytelnika". Fragment jaki zamieszczamy poniżej, wyjęty jest z noweli „La vie privée ou Alexis Slavsky".

RYSZARD MATUSZEWSKI

O POEZJI CZESŁAWA MIŁOSZA

JEDEN WIERSZ

Gdy zaplątani w ruchy własnych nóg,
Rowerzyści na szosie zataczają koło,
W powietrzu, które jest różowe, dziecinne,
Przygotowane już na formy inne,
Na zarys innych niż żyjące stóp.

Gdy, ścinający mgłę błyskami nóg
Wjeżdżają rano w jakieś miasto ludzkie.
I słoneczniki przedmieść mkną nad bielą,
I topolowe widma nad przestrzenią.

Kobieta, zgięta pod koszem warzywa,
Idąc o świcie rozcina na dwoje
Tłum niewidzialny, wysokie pokoje
Mieszkańców, których wzrok jej nie
odkrywa...

Różowe powietrze, mgła, błyski nóg, słoneczniki przedmieść, biel i topolowe widma — oto elementy wizualne. Parę plam, dalekich od tego, aby dać nam realistyczną pełnię obrazu, ale dostatecznie żywych, aby odbić w naszych oczach blask prześwietlonego słońcem ranka na podmiejskiej szosie, utrwalić w nas silne wrażenie światła i ruchu, wywołując asocjację z impresjonistycznym malarstwem.

Zwróćmy uwagę: ostrość obiektywu, którym jesteśmy, skupiona jest trwale na przedmiocie poruszającym się: rowerzyści są konkretni, ruch ich nóg ścina mgłę — poza nimi — krajobraz jest światłem i bielą, topole — widmami (bo we mgle), tylko słoneczniki świecą i poruszają się („mkną nad bielą"), tak samo jak topolowe widma (wyżej: „nad przestrzenią", gdzie mgła jest rzadsza). Wrażenie oparte na prostej zasadzie optycznej, łatwej do zaobserwowania, kiedy znajdujemy się w ruchu, że przedmioty położone dalej poruszają się wraz z nami.

Dopiero teraz wzrok nasz skupia się na kobiecie niosącej warzywa. Rowerzyści znikli — została kobieta, konkretna, i, wokół niej — miasto nierealne, niekonkretne, z niewidzialnym tłumem, przez który przenika się jak przez powietrze. Daje to nam odrazu, poza wizją jakiś skrótowy przekrój psychologiczny kobiety, dla której wysokie pokoje mieszkańców miasta są niedostępne i niepoznawalne.

Tu obraz oparty na elementach realistycznych, choć częściowo odrealnionych przez skrótową, szkicową technikę malarską poety, nagle urywa się. Następuje dalsza część wiersza, w której układy przestrzeni i czasu — obraz kobiety z minionej epoki, fragment śpiżowej grupy na pomniku, wodospad skamieniałych kwiatów wreszcie — przebiegają — chcielibyśmy powiedzieć — jak za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki. Ale autor sam nas wyręcza:

Wystarczy rękę podnieść, już dotyka
Policzka, trafia na suknię z atłasu
Na twarz w uśmiechu minionego czasu,
Pianę łańcucha lub muszlę grzebyka.

Czarodziej biorąc pałeczkę czy dłuto
Zawoła: stań się, z powietrza wyłoni
Czwórkę spienionych nieruchomo koni
Spiżową rękę, deszczami rozprutą.

I tam, gdzie koło białej pustki stało,
Teraz — czerwone biegają płomyki,
Tak to powietrze od dotknięć stężało,
Fałda po fałdzie w wodospad urosło.

Kręcą się kwiatów skamieniałych śmigi
I ziemia pachnie od błyskawic wiosną.
Dłuto, pałeczka z rąk wypada. Giń.

Ten układ przesuwających się przed nami w przyśpieszanym lub zwalnianym tempie obrazów nie ma już bezpośredniego, przyczynowego związku z ruchem, w jaki wprawiły nas obroty kół rowerzystów na szosie. Odbiegł od nich daleko, operując tokiem skojarzeń irracjonalnych, jakie wprowadził do poezji jeszcze symbolizm, kontynuował nadrealizm i które urealnił dla naszej wyobraźni swymi możliwościami technicznymi. — film. O tyle ma rację Kazimierz Wyka piszący, że w budowie obrazów w wierszach Czesława Miłosza niejednokrotnie działa prawo kompozycji filmowej, polegającej „na niespodziewanym, tylko w tej sztuce możliwym do tak szerokiego stosowania kontraście, przepływaniu, przenikaniu obrazów najbardziej od siebie dalekich". Trzeba podkreślić, że nie jest to wynalazek filmu, lecz tylko zastosowanie przez technikę kinematograficzną sugestii panujących w latach jej rozwoju stylów literackich. Tym nie mniej wyobrażamy sobie dobrze filmowy „gag" polegający na tym, że w pewnym momencie obracające się szprychy rowerów przekształcają się w wirujące śmigi kamiennych kwiatów, stanowiących element dekoracyjny pomnika. Podkreślić należy, że poetycki film Miłosza budowany jest według najlepszych wzorów i szczytowych osiągnięć dotychczasowego filmu artystycznego. Przy budowie obrazów widoczna jest na przykład dbałość, aby były one plastyczne i wypukłe, aby przełamywały płaskość obrazu, w którym nie ma już — w przeciwstawieniu do pierwszej części wiersza, gdzie oglądamy krajobraz oczyma malarza impresjonisty — kolorów (bo nie ma ich w filmie), ale jest — gładkość policzka, atłasu, piana łańcucha i muszla grzebyka, fałdy rosnące w wodospad, powietrze stężałe od dotknięć, elementy brył z pomnika — jednym słowem: przedmioty i wyobrażenia plastyczne i dotykalne.

I tu nagle celowa kompozycja układów wyobrażeń, z których skonstruowany jest wiersz, przenosi nas w trzecią jego fazę. Wizje pozornie wymykają się spod władzy fikcyjnego czarodzieja czy rzeźbiarza. Biegną coraz szybciej, kłębią się i tłoczą, przelewają coraz bogatszą i tłumniejszą falą, niosącą podniety jednocześnie dla wzroku, słuchu, dotyku, węchu.

Zapóźno. Idzie niewstrzymany chór,
Piszczałek, palców ruchliwych szeregi,
Chorągwi dym nad nimi nisko klaszcze.
Jedna po drugiej gasną trafione przepaście.
Na pieśń maleńkim jak zabawka dziejom
Na zgubę smutnym jak los czarodziejom...

Widzimy tu już wyraźne wpływy obrazowania z epoki późnego symbolizmu — widzimy gwałtowne przyśpieszenie tempa całkowicie już odrealnionych obrazów, jak gdyby w filmie, którego bohater zagubiony w chaosie i zgiełku otaczającego go świata przeżywa jakąś wielką wewnętrzną burzę uczuć. Słyszymy wznoszące się i wzmagające akordy słów, jak gdyby akordy muzyki. Tak — bo nagle zaczynamy rozumieć, że poemat tak przeładowany elementami plastycznymi, że aż nagle zaczynają się one mącić, zachodzić na siebie i wzajemnie interferować, jest jakby rozrastającym się poematem muzycznym, osiągającym tu jakieś silne, polifoniczne współbrzmienia i akordy. I nagle — kontrast:

...Mokre od rosy błyszczą na placach —
pomniki".

Splątana wizja konkretyzuje się. Może niepotrzebny był w ogóle czarodziej? Może tylko cykliści z podmiejskiej szosy wjechali nagle rankiem do miasta, gdzie na pustych placach pomniki są jedynymi kształtami, noszącymi na sobie widomy ślad twórczej ręki człowieka? Może to o nich myślał poeta, kiedy, jeszcze w pierwszym ustępie wiersza, ustępie, który celowo opuściliśmy przy analizie jego walorów optycznych, pisał o „powietrzu, które jest... przygotowane już na formy inne, na zarys innych niż żyjące stóp"? Tak myślimy czytając:

Wtedy ścinają ranek błyski nóg,
Jest i kobieta z koszami warzywa
I słoneczniki chwieją się znad mgły.

Ale zaraz potem, następnym zdaniem —

Kto inny ciebie teraz ręka wabi,
Kto inny ciebie, tam sięgając, wzywa —
Tam, gdzie ty jesteś, i ty, i nie ty.

— autor swym lirycznym komentarzem odbiera sens naszemu przywiązaniu do realistycznej i konkretnej wizji, którą w nas wywołał tak sugestywnymi środkami. Nie potrzebujemy już nawet końcowego przesłania, aby wiedzieć, że wszystkie poszczególne obrazy są tylko pretekstem, że to tylko czysty eksperyment poetycki, badanie własnej mocy czarodziejskiej, a czarodziej — to poeta.

Przesłanie
Tobie znaczone tak pałeczką skinąć,
Burze obudzić, rozciąć serce burz,
Posąg jak gniazdo spod liści odwinąć,
Choć zerwać chciałeś tylko kilka róż.

I wszystko staje się jasne. Wszystko zrozumiałe i celowe, poza paroma momentami, których interpretacja wydać się może dowolna, poza zdaniami lirycznego komentarza. Bo co znaczy właściwie, że powietrze „przygotowane jest na formy inne, na zarys innych niż żyjące stóp"? Daliśmy tu wytłumaczenie zgodne z plastyczną wizją wiersza. Zobaczyliśmy w tej formule zapowiedź kształtów posągu, który wyłoni się ze świetlistych oparów ranka: spod pędzla malarza, pióra poety, dłuta rzeźbiarza, pałeczki czarodzieja. Wielka metafora jest przejrzysta: przecież wiersz nazywa się „Dzień tworzenia". Ale trudno nie przyznać, że kiedy czytamy wiersz po raz pierwszy i nie wiemy co dalej nastąpi, nie może nas uderzyć w tej formule nic z tego co jest jej obrazowym i pojęciowym uzupełnieniem. Uderza nas co innego: akcent jakiejś wiary. Jakiej? Nie wiemy. I właściwie nie będziemy wiedzieli do końca. Bo cóż to znaczy, że powietrze jest **przygotowane** na formy inne? Dlaczego przygotowane? Dlaczego na zarys stóp „innych niż żyjące"? Do słów „kto inny ciebie teraz, tam sięgając, wzywa — tam, gdzie ty jesteś, i ty, i nie ty" można by dać szeroką interpretację za pomocą teorii egzystencjalistycznej: otwierają się tu szerokie perspektywy interpretacyjne.

Oczywiście nie można tu poety interpretować dosłownie, bo od czasów ukształtowania się estetyki symbolistycznej t. zn. od drugiej połowy XIX wieku wszystko prawie w poezji oparte jest, jeśli chodzi o warstwę znaczeniową, na sugerowaniu i na aluzji, a nie na dosłowności. Na możliwości podkładania szeregu pokrewnych znaczeń pod wyrażenie, które jest „jedyne" i „niezastąpione", dlatego właśnie, że łączy niewypowiedziane możliwości podsuwania pod nie w myśli różnych zbliżonych mniej „poetyckich" (w znaczeniu ustalonym przez poetycki symbolizm) a bardziej precyzyjnych odpowiedników. Dlatego poeci od połowy XIX wieku nie lubią, aby ich rozszyfrowywać, tak jak magicy i prestidigitatorzy nie lubią, aby im zaglądać w rękawy i kieszenia. Dlatego być może będziemy już nie interpretatorami, ale kontynuatorami myśli poety i tropicielami niewyrażonych bezpośrednio konsekwencji wiersza Miłosza, jeśli powiemy, że kryje się w nim gotowa formuła koncepcji, że cały świat rzeczywisty służy sztuce, że cała jego treść jest jedynie przygotowaniem jej form. Jest to formuła wiary w wieczną trwałość sztuki („ars longa vita brevis"), formuła estetyzmu wyrażonego przy pomocy środków symbolistycznych.

CAŁOŚĆ

Spróbujmy zreasumować elementy naszej analizy, wyliczając je kolejno. Będą nimi: 1) plastyka malarska, 2) ekspresja filmowa, 3) to, co moglibyśmy nazwać instrumentalizacją sensualistyczną, a więc taki dobór wyobrażeń, który kojarzy się w nas z wielostronnymi podnietami zmysłowymi typu estetycznego, 4) celowa kompozycja tych sensualistyczno - znaczeniowych elementów w układzie przypominającym układy muzyczne, 5) jej uzasalnienie psychologiczne z punktu widzenia odbiorcy wrażeń, wreszcie — 6) sens obiektywny wiersza, jego znaczenie w układzie pojęciowym, jego właściwa warstwa znaczeniowa. Pominęliśmy — mógłby ktoś zauważyć warstwę czysto brzmieniową, sprawę dźwiękowego doboru samych słów: jest ona — mógłby ktoś twierdzić — ważna dla tak zwanej „muzyczności" wiersza. Oczywiście jest to absurd: jakikolwiek piękny dźwiękowo wydawał by się nam jakiś utwór — udział w naszym doznaniu bierze jednocześnie percepcja dźwięków i percepcja znaczeń.

Przeanalizowaliśmy dlatego jeden wiersz Miłosza w całości: zamiast dawać przykłady każdego z wyróżnionych przez nas elemenów jego techniki poetyckiej w różnych utworach, aby pokazać nie tylko jak wyglądają one wzięte osobno, ale także jak współgrają i łączą się ze sobą. Wszystkie, prócz ostatniego, łączą się w jednolitą całość t. zw. walorów formalnych wiersza. Wybraliśmy do analizy wiersz „Dzień tworzenia", choć nie jest on bynajmniej jedynym, reprezentującym w całej pełni wysoką jakość tych walorów. Wydał się nam dość charakterystyczny. Z kolei musimy przejść jednak do przeglądu tomu wierszy Miłosza jako całości. Tylko to pozwoli nam bowiem ocenić rolę wyszczególnionych powyżej elementów w całokształcie jego twórczości poetyckiej.

„Ocalenie" składa sie z siedmiu cykli: Juvenilia, „Trzy zimy" wiersza z okresu 1937—1939 (przed wojną, a po wydaniu „Trzech zim"), wiersze z okresu 1930/1943 (do nich należy przeanalizowany przez nas wiersz „Dzień tworzenia"), poemat „Świat", zbiór różnych utworów, pisanych w latach 1943 — 1944, ujętych wspólnym tytułem „Głosy biednych ludzi", garść wierszy końcowych. W tych siedmiu cyklach zamknięte zostały co najmniej trzy ważne i istotne fazy poetyckiego rozwoju Miłosza. Pierwsza i dostatecznie już opisana — to „Trzy zimy" i „katastrofizm", druga — to wiersze mniej lub więcej podobne do tego, którym zajmowaliśmy się wyżej, trzecia — to utwory, które Kazimierz Wyka w jedynej, jaka dotąd się ukazała, zasadniczej recenzji z poezji Miłosza nazwał utwarami publicystyczno - pamfletowymi.

TRZY FAZY

I tu Wyka ma rację mówiąc o pewnym powracaniu w twórczości Miłosza jej motywów, zdawać by się mogło już przezwyciężonych: fazy te — to nie tylko zjawisko o pewnym historycznym następstwie. To jak gdyby kolejne dopuszczanie do głosu w stopniu mniejszym lub większym przewagi różnych, lecz zawsze prawie współistniejących ze sobą elementów w poezji Miłosza: elementów plastyki i ekspresji sensualistycznej, pojętej jedynie jako środki wyrazu (poetycka fantastyka) tychże elementów pojętych realistycznie i w zespoleniu z pewnym sensem jednoznacznym (sui generis „poetycki realizm"), wreszcie elementów ekspresyjno-znaczeniowych, rozrośniętych ponad obraz i jego plastykę (partie retoryczne).

Jeśli przyjrzymy się wierszom Miłosza, zawartym w „Ocaleniu", począwszy od najwcześniejszych sprzed kilkunastu lat, a kończąc na napisanych już po wojnie, zobaczymy, że i tu i tam, w mniejszym lub większym nasileniu, czynniki te występują obok siebie, choć pojawiają się w co raz to innej funkcji. W okresie „Trzech zim" elementy dekoracyjnie plastyczne i sensualistyczne występowały przeważnie w utworach o dużej ekspresji i zupełnie niejasnym lub trudnym do odcyfrowania sensie („Ptaki", „Pieśń", „Bramy arsenału", „Hymn", „Dialog", „Powolna rzeka", „Posąg małonków", „Roki", „Do księdza Ch." — właściwie prawie cały ów zbiór), ale obok nich istniało tak że parę wierszy, opowiadających w sposób poetycki o świecie rzeczywistym („Kołysanka", „Pieśń o młodszym bracie"), a realistyczne elementy w wierszach fantastycznych, jak poprzednio wymienione, dawały także miarę tego, co poeta mógłby o świecie powiedzieć, gdyby chciał obrazy swoje konstruować na zasadzie rządzących nimi znaczeń, być może skomplikowanych i przebranych w symbole, ale jednoznacznych i określonych.

KATASTROFIZM

Wyróżniający się spośród innych wiersz — klucz „O książce" był natomiast skrajnym przeciwstawieniem stylu wizyjnego i plastyki wierszy pozostałych: był retorycznym, niezmetaforyzowanym jasnym i jednoznacznym wykładem ówczesnych poglądów autora na rolę sztuki, pokolenia międzywojennego, którego autor był reprezentantem, i epoki, w której żyć mu przyszło. W wierszu „O książce" rola warstwy znaczeniowej, obiektywnego sensu utworu była bardzo wielka decydująca. Był to prawdziwy manifest katastrofizmu. Natomiast w innych wierszach, w „Bramach arsenału" naprzykład, była ona nikła, i jedyną sensowną interpretacją utworu była interpretacja à rebours: można było i należało wyciągać odpowiednie wnioski z tego, że wiersz, będąc wielką suitą muzyczną, szeregiem sugestywnych obrazów, i mogąc znaczyć bardzo wiele, właściwie nie znaczył nic. Dla zjawiska, które nazwano katastrofizmem, i dla którego przed wojenna twórczość Miłosza była zdarzeniem centralnym, wiersze w rodzaju „Ptaków" były zresztą niemniej znamienne niż wspomniany manifest., Mówiły wymowniej niż on że zjawiska, które nadchodzą i które nas otaczają są groźne, potężne i niezrozumiałe.

Czesław Miłosz

Katastrofizm był wymownym literackim odpowiednikiem podcinających korzenie europejskiej myśli nurtów mistycyzującego irracjonalizmu, jakie niosło załamywanie się ostatnich historycznych koncepcyj usiłujących dla zjawisk naszej cywilizacji znaleźć wyraz i interpretację zgodną z postulatami rozumu.

Elementem natomiast, który przeczył, i to stanowczo, atmosferze przerastającej nasze zrozumienie grozy, był w wierszach Miłosza element obserwacji i plastyki życia. Przeczył on właśnie w taki sam sposób fałszywej atmosferze fantastyki poety, jak realizm i kolorystyka Jacka Malczewskiego przeczyły baśniowości w jego obrazach. Gdy bowiem świat kresowej prowincji polskiej i smętku wojskowych manewrów w kraju otwartym na wichry dziejów odmalowany został przez poetę w „Kołysance" i wierszu „O młodszym bracie" z dbałością o jakąś wierność klimatowi faktów, które istniały w sferze rzeczywistej a nie tylko wyobrażeniowej, — atmosfera katastrofizmu ustępowała miejsca prawdziwym proporciom rzeczywistości, jasno dającym się wytłumaczyć, tak samo jak poetycko dały się zobrazować.

Do obu wymienionych wierszy można było napisać trafny komentaż socjologiczno-historyczny prozą, który by w niczym nie przeczył zawartemu w nich, niepozbawionemu również bynajmniej fantastyki obrazowi. Natomiast taki sam komentarz napisany do „Ptaków" byłby albo z nimi niezgodny, albo nieprawdziwy i musiałby wykazać ich fałsz artystyczny. Wiersz „O książce" był sam w sobie tego rodzaju komentarzem — pomińmy na razie sprawę o ile również fałszywym

PLASTYCZNY REALIZM I LIRYCZNY KOMENTARZ

W późniejszych etapach twórczości Miłosza element swobodnej gry wyobraźni, któremu nie odpowiadało nic lub prawie nic w sferze zjawisk realnych, uległ stopniowemu ograniczeniu, choć nie został z nich wyeliminowany. Zarówno w wierszach okresu 1937/1939, jak w późniejszych utworach lat wojny mamy w dalszym ciągu jaskrawe kontrasty i przerzucania się ku potokom skojarzeń z trudem dającym się racjonalnie uzasadnić. Elementy te zostają teraz podporządkowane innym koncepcjom niż eschatologiczny katastrofizm, wiara w grozę i niezrozumiałość zjawisk, tym niemniej podkład irracjonalny pozostaje i tkwi nadal w wierszach Miłosza, mniej lub więcej uzasadniony artystycznie. W analizowanym przez nas utworze widzieliśmy na przykład jak charakterystyczne dlań przelewanie się nie powiązanych logicznie obrazów w jego trzeciej fazie zostało kompozycyjnie wprzęgnięte w skomplikowaną budowę wiersza, która je całkowicie tłumaczy. Czynnikowi irracjonalistycznemu coraz częściej przypada teraz ta rola służebna. W tym kierunku idzie niewątpliwy rozwój poezji Miłosza. Na przykład należący do utworów na podobnej grze skojarzeń opartej, wydany konspiracyjnie podczas okupacji „Poemat wrześniowy", — w „Ocaleniu" otrzymuje w ostatecznej redakcji tytuł komentarz — „W malignie 1939", zaznaczający dystans autora. Jednocześnie wyłączony zostaje z tego cyklu w osobną całość wiersz „Miasto", jedyny, który w zasadniczym zrębie swej konstrukcji oparty jest na realiach i dlatego najlepszy.

Przeważającym typem utworów w tej drugiej fazie rozwoju poety, modelem jak gdyby jego wierszy artystycznie najdoskonalszych staje się utwór wykorzystujący to, w czym autor celuje: plastyczno - realistyczny

pejzaż, zdarzenie, fragment życia ujrzany w skrócie i odnotowany przez poetę przy pomocy przedstawionej wyżej niezawodnej techniki rysunku oraz z niezwykłą umiejętnością ich lirycznego podbarwienia jednym często zdaniem lub słowem o emocjonalnym walorze. Takim lirycznym podbarwieniem opisu są wszystkie przymglenia konturów, niedopowiedzenia i temu podobne elementy symbolistyczne, jak — w analizowanym przez nas wierszu — ów „tłum niewidzialny", „zarys stóp innych niż żyjące" „jakieś miasto ludzkie" itd. Wszędzie tu występuje jakieś zjawisko ukazanej, lecz nie całkowicie odsłoniętej perspektywy: przestrzennej, czasowej, znaczeniowej. Przykładów na nie można znaleźć w wierszach Miłosza mnóstwo.

Owe „wszystko minione, wszystko zapomniane" (perspektywa czasowa), owe „w mojej ojczyźnie, do której nie wrócę jest takie leśne jezioro ogromne" (perspektywa przestrzenna), „ostatni tramwaj zazgrzytał, obłok na niebie nas witał, jakbym o sobie gdzieś czytał (perspektywa czasowa, przestrzenna i psychologiczna jednocześnie). „Nie dlatego, żebym wiary nie miał: jest tylko jedna moc i to jest moc zachwytu, lecz ludzkiej księdze życia tylko czarna ziemia nadaje tytuł": nie wypełniona, urwana myśl, otwarta perspektywa znaczeniowa. Cały zresztą wiersz „W malignie 1939" składa się z takich urwanych perspektyw: „za tysiąc lat, czy może za tysiącem mil...: autor umyślnie tworzy perspektywy kosmiczne, aby za pomocą nieskończonej odległości oddać swoje oddalenie i zagubienie się psychiczne:

Co mam napisać na początku. To jest list na ziemię
Każdy twój ból miniony będzie dźwiękiem nowym.

Gdzie indziej: „Od lat, od lat ta sama, niepojęta, choćbym za zrozumienie całe życie dał...". I tak dalej w każdym niemal wierszu. Z tym, co nazwaliśmy ekspresją filmową, łączy się umiejętność nagłej zmiany perspektyw obrazowych, oddalania i przybliżania przedmiotu: oto nagle wśród jakichś przepastnych otchłani dzieje ludzkie stają się maleńkie jak zabawka, człowieka oglądamy jak postać z innej planety, obłok przecina niebo, którego przestrzenność i pustka podkreślają nasze zagubienie i samotność. Jednocześnie, zaś żaglowe okręty („Bramy arsenału") okazują się dziecinnymi zabawkami, naładowanymi „wojskiem blaszanych żołnierzy", a trzmiel strząsa pył z tulipana w czasie, kiedy między jednym a drugim przypływem morskim „kona jedno ludzkie tysiąclecie". To liryczne spięcie, osiągnięte za pomocą rozwinięcia motywu niewspółmierności układów przestrzenno - czasowych (moglibyśmy je nazwać motywem Guliwera) odnajdujemy w poemacie „Świat", w przypowieści o maku:

Ziemia to ziarnko — naprawdę nie więcej,
A inne ziarnka — planety i gwiazdy.
A choć ich będzie chyba sto tysięcy,
Domek z ogrodem może stać na każdej.
Wszystko w makówce.

To samo w tymże poemacie w wierszu „Przy piwoniach":

Matka nad klombem z piwoniami staje,
Sięga po jedną i płatki rozchyla,
I długo patrzy w piwoniowe kraje,
Dla których rokiem bywa jedna chwila.

Tu już mamy jednak inne, filozoficzne perspektywy tego, co z początku uznaliśmy jedynie za chwyt formalny. Mówiąc o lirycznym podbarwieniu realistycznego obrazu w wierszach Miłosza stanęliśmy u progu zjawiska, które przerosło samo siebie i swoją pierwotną funkcję. O tym jednak nieco niżej.

Powiedzieliśmy, że to co nazwaliśmy środkową fazą rozwoju twórczości poety cechuje w przeciwieństwie do okresu katastroficznego i do wierszy późniejszych plastyczna i realistyczna malarskość z podbarwieniem lirycznym. Źródła tej odmiany stylu Miłosza leżą niewątpliwie w takich wierszach okresu poprzedniego, jak „Kołysanka" i „O młodszym bracie". Do kategorii tej należy „Miasto", „Równina", „Błądząc", „Kraina poezji", „Dzień tworzenia", „Ranek", „Walc", „Campo di Fiori", choć nie brak wśród nich momentów, łączących te wiersze z katastroficznymi i retorycznymi tradycjami poezji autora „Ocalenia". Tę samą najbardziej twórczą, odmianę poezji Miłosza stanowi „poema naiwne" — „Świat". Występują w nim te same elementy obrazowania i plastyki oraz ta sama rola wstawek refleksyjno-lirycznych. Dochodzi do nich jedynie stylizacja. Natomiast takie wiersze jak „Rzeka", „Książka z ruin" i „Podróż" są przykładami przewagi klasycznej retoryki i stanowią, jeśli chodzi o styl, rodzaj odpowiednika wiersza „O książce" z poprzedniego okresu.

Charakterystycznym, choć nie różniącym pod tym względem Miłosza od znakomitej większości poetów o szczególnym typie wyobraźni zjawiskiem jest wielokrotne, perseweracyjne powracanie u niego pewnych ulubionych motywów i wątków i to nie tylko obrazowych i pojęciowych (przykładów można by przytoczyć wiele), ale i konstrukcyjnych. Wystarczy zestawić wiersz „Świty" z „Trzech zim" z wierszem „Walc" z okresu późniejszego.

PUBLICYSTYKA I PAMFLET

Dopiero po „Świecie" (lata 1943—1945), następuje trzecia faza poetycka autora „Ocalenia", w której sporą część dotychczasowych środków artystycznych autor porzuca. Z realistycznego i plastycznego pejzażu pozostają na ogół okruchy (wyjątek — wiersz: „Przedmieście"). Z sensualistycznej instrumentalizacji nie pozostaje nic. Na plan pierwszy wybija się element znaczeniony: obrazy pełnią w stosunku do niego rolę służebną, ilustracyjną. W rysunku psychologicznym obok nuty tragicznej i częściowo zamiast niej pojawia się element groteski. Powstaje cykl poddanych surowej krytyce przez Wykę utworów pamfletowo - publicystycznych pt. „Głosy biednych ludzi", w których wypowiedź bezpośrednia poety, swoista retoryka postaci, którym autor powierza tok przedstawianych myśli i wyobrażeń nie ma już swej patetyczno - klasycystycznej szaty z lat poprzednich, i gdzie elementy formy poetyckiej Miłosza ulegają pewnemu rozbiciu. Nie znaczy to, że ich nie ma: można nawet nowy sposób ich stosowania (metafora psychologiczna) uważać za pewną komplikację. Tym nie mniej stwierdzić trzeba, że nie jest to komplikacja formalna, lecz rodzaj „walki o treść" wypowiedzianej przez Miłosza własnej poezji.

Tu już zdania nie będące obrazami świata materii nie są też jedynie lirycznym komentarzem ani symboliczną aluzją. Są wypowiedziami, których treść w jakiś określony sposób musi się liczyć, ponieważ nie jest niczym przesłonięta. Musi coś znaczyć, aby miał jakiś sens cały składający się z tych wypowiedzi rozdział twórczości poety i aby nie trzeba było o nich powiedzieć, że są jedynie poetycką ekstrawagancją i pustą grą słów. Sprawę właściwego podejścia do nich porusza sam autor w swoim „Liście półprywatnym o poezji"*), w którym odpowiada na zarzuty Wyki. Pisze on:

„Język poezji stał się tak obrazowy, jak język ludów pierwotnych i wprowadzenie do niego pojęć bez pozbawienia go zwięzłości jest prawdziwą łamigłówką. Z potępieniem publicystyki w imię tych racji łatwo się zgodzę. Dlaczego jednak nie mielibyśmy uznać, że używamy słowa „publicystyka" w sensie nadmiernie zwężonym? Pomiędzy publicystyką „Odprawy posłów greckich" i romantyczną tyradą są znaczne różnice. Nikt nam nie każe trzymać się tej ostatniej jako wzorca. Trzeba raczej ubolewać, że w Polsce, ile razy ktoś chce przemawiać na tzw. wielkie tematy, tyle razy wpada w romantyczną manierę, co rzekomo jest wiernością dla tradycji, ale tradycji obciętej o sporo stuleci.

Myślę, że klucz do przyszłości znalazłoby się w rozważaniach o ironii artystycznej, o persyflażu, o dramatycznych formach poezji. Jeżeli ma mię spotkać zarzut, że nawołuję do kpiarstwa i lekkiego tonu, to właściwie szkoda dalej mówić. Ironia artystyczna tak jak ją rozumiem, polega przede wszystkim na zdolności autora do przybierania skóry różnych ludzi i kiedy piszę w pierwszej osobie do przemawiania tak, jakby przemawiał nie on sam, ale osoba przez niego stworzona. Istotny sens utworu zawiera się wtedy w sferze stosunku autora do postaci. Ten stosunek może się wahać od aprobaty, od aprobaty z zastrzeżeniem, do negacji serdecznej, do negacji zjadliwej — możliwe są tysiące odcieni i to, co zaatakowane wprost wymyka się, w ten sposób jest nieraz możliwe do uchwycenia. Jest to stary przepis dobrych majstrów, ale zdaje się niemal zupełnie zapomniany. Czysta maniera romantyczna odnosi się do niego z lekceważeniem: tam przemawiający i autor identyfikują się. Byron czuł się w obowiązku opowiadać co myśli o swoich bohaterach, wtrącać całe ustępy osobistych wynurzeń lirycznych, ani na chwilę nie oddzielając się od siebie".

I dalej:

„Dzisiejszy czytelnik, i to dobry czytelnik poezji, jest wrażliwy na tzw. walory formalne i lubi łapać autora za słowa, dając upust swoim skłonnościom psychoanalitycznym. Uchwyt za całość utworu, koncept użyty przez poetę, wymyka się jego uwadze. Jeżeli poeta daje wyraźne znaki przeczące głową i przymruża oko — to ostatecznie jego wiersz zostanie zaliczony do rzędu utworów satyrycznych czy komicznych. Aprobata albo satyra. Nic poza tym".

Przytoczyliśmy komentarz Miłosza do własnych wierszy dlatego, aby nie należeć do posądzonych o niedostrzeganie dystansu między autorem a postaciami, których „skóry przybiera". Zgadzamy się z góry na wszelkie półtony i odcienie jego stosunku do tych postaci, a także nie zamierzamy opierać się w krytyce na niczym innym, niż uchwyt za całość tego etapu jego twórczości, jaki stanowią „Głosy biednych ludzi", tak samo jak „uchwytem za całość" była na ogół krytyka katastrofizmu.

*) Twórczość Nr 10 r. 1946.

ESTETYZM I POSTAWA MORALNA

Przechodząc do oceny ideologicznej wierszy Miłosza, która w stosunku do okresu „Trzech zim" może uchodzić za rzecz „załatwioną", a w stosunku do okresu „estetyzmu" za rzecz mało ważną ze względu na — neutralizujące niejednokrotnie wydźwięk liryczno - refleksyjnego komentarza — działanie walorów plastyczno sensualistycznych wierszy Miłosza, musimy zastanowić się zarówno nad właściwą rolą tego co nazwaliśmy „właściwą warstwą znaczeniową" czy też „obiektywnym sensem wiersza", jak nad metodą docierania do niej poprzez splątany gąszcz obrazowej lub psychologicznej metaforyki autora.

Podkreślić musimy, że naszym zdaniem ta właściwa warstwa znaczeniowa, właściwe znaczenie wiersza w układzie pojęciowym, istnieje jako pojęcie węższe od szerzej pojętej warstwy znaczeniowej, w której zakres wchodzi nasz odbiór psychologiczny dostarczonych nam w utworze poetyckim wrażeń oraz możliwości dystansów, skojarzeń, cieniowań i półtonów, jakie stwarza bogata i skomplikowana treść utworu literackiego.

Obiektywny sens wiersza jest oczywiście zależny od ostatecznej wypadkowej tego dystansu i tych półtonów, ale ich oddziaływanie nie może służyć za wygodny parawan. Adrian Zieliński nie jest Czesławem Miłoszem, nie jest nim „obywatel", „biedny poeta" ani „St. Ign. Witkiewicz", ale ich głosy, wywołane przez poetę, coś znaczą i ma jakieś znaczenie to właśnie, że słyszymy te głosy a nie inne. Tak samo i liryczny komentarz w wierszach w okresie okupacji, i stosunek do zagadnień „ludzkich": zjawisk społecznych, zagadnień walki, zagadnień sztuki wyznacza kulturalną rolę wierszy Miłosza, określa ich obiektywny sens, podlegający ocenie, oczywiście przy założeniu doskonałej wrażliwości na ich walory formalne.

Wyka nazywa filozofię poetycką Miłosza w epoce późniejszej niż katastrofizm filozofią „mitu arkadyjskiego" i szukaniem przez poetę „postawy nieprzystosowania wobec świata w imię kontemplacji estetycznej". Udawadnia to na przykładach licznych wierszy, mówiących o zaczarowanej krainie poezji i utraconych rajach arkadyjskiego szczęścia, osnutych na motywach szekspirowskich, dickensowskich i na motywach mitu o złotym wieku ludzkości („Baśń wigilijna", „Kraina poezji", „Piosenka pasterska", poema naiwne „Świat" wizja z wiersza „Ranek", który Wyka uważa za programowy). Wyka twierdzi, że Miłosza stać na poezję współgrającą z przeżyciami zbiorowymi a szukanie nieprzystosowania jest w nim jedynie przejawem pewnej maniery. Miłosz odpowiada na to, że kiedy ktoś mówi o micie arkadyjskim w poezji nie mówi o niczym innym, niż o samej istocie poetyckości, gdyż mit o szczęściu rodzaju ludzkiego jest od niej nieodłączny i w jego głoszeniu tkwi najwyższe poetyckie posłannictwo. Twierdzi, że pisząc, iż nie chce zostać płaczką żałobną, a woli „opiewać festyny, radosne gaje", do których wprowadził go Szekspir — nie jest odwracającym się od przeżyć zbiorowych estety samotnikiem, ale wyrazicielem przeżyć najbardziej powszechnych.

„Ludzie w Polsce w czasie wojny marzyli: o podróżach, o przyszłej pięknej Warszawie, o smaku wolności, o jadłach i napojach. Bardzo to były ludzkie marzenia, i jeżeli dawałem im wyraz tworząc obrazy miast, gdzie publicznie wolno dysputować o rzeczy pospolitej (poeci mitów arkadyjskich kochają starożytną Grecję), czy marmurowej Warszawy przyszłości, pełnej pieśni, rzeźb, jadła i napojów — to dowodzi raczej, że żyłem w rytmie wspólnoty, niż że się od niej oddzielałem".

Nie jest zatem — według Miłosza — nieprzystosowaniem głoszenie mitu wiecznej szczęśliwości. Jest nim natomiast — i to słusznie — „nie udzielanie moralnej aprobaty złu". W tym sensie poezja jest, według Miłosza, narzędziem „ocalającym". Na tym polega jej „wybawczy cel".

Dyskusja między poetą a krytykiem ma niewątpliwie cechę dyskusji pasjonującej. Jesteśmy w szczęśliwym położeniu mając w ręku tekst poetycki, będący jej podstawą. Czy konfrontacja z tekstem przynosi nam istotnie przekonanie, że poezja Miłosza jest tym co popularnie nazywane bywa „ucieczką od rzeczywistości", czy, przeciwnie, może uchodzić za wyraz zbiorowego sumienia?

Niewątpliwie byłoby surowym i niesprawiedliwym wyrokiem nie dojrzeć w twórczości poety nut głęboko przeżytej i pięknie wyrażonej postawy moralnej. Głęboko ludzki wiersz „Campo di Fiori" tragiczny wydźwięk współbrzmienia z uczuciami zbiorowymi w wierszach „Miasto", „Rzeka", czy „Walc", bolesna ironia pamfletu na książkę Jadźwinga - Suchodolskiego („Na pewną książkę"), wymowne w swej plastyce „Przedmieście" i, sięgając do wierszy jeszcze przedwojennych — urzekająca „Siena" lub prosta i mocna „Pieśń Levallois" — są jej dostatecznie żywymi świadectwami.

Nie jest również jej zaparciem się, co najwyżej pewnym zwężeniem postawy humanistycznej poety, estetyzm tejże „Sieny", „Dnia tworzenia", „Ranka", „Krainy poezji", czy „Świata". Można wierzyć w wieczną wartość sztuki i w to, że „mali są ludzie, wielkie są ich dzieła". Pod jednym wszakże warunkiem. Pod warunkiem niezagubienia proporcji wartości, w imię których sztuka powstaje, pod warunkiem niepopełnienia „grzechu estetyzmu", którym jest rozkochanie w pięknie pomnika większe, niż w wartości żywej, którą pomnik reprezentował, w formie wyrazu wartości, a nie w niej samej.

„Mali są ludzie, wielkie są ich dzieła". Zapewne, ale dzieła służą ludziom i tylko ludziom. To właśnie jest humanizmem a nie rozmiłowanie w arkadyjskich mitach dlatego, że są piękne. Prowadzenie ludzi do nich, a nie ukazywanie im — ich odległych i niedosięgalnych perspektyw.

NIE PSYCHOLOGIA, LECZ OCENA FAKTÓW SPOŁECZNYCH

To, co w tej chwili mówimy, są to oczywiście grube uproszczenia, ale uproszczenia celowe. Zmierzają one do wykazania, że w poezji Miłosza, obok niewątpliwego wyrazu postawy moralnej i społecznego sumienia, mamy do czynienia nietylko z „nieprzystosowaniem w imię piękna", o którym mówi Wyka, ale i z istotnym zamąceniem perspektyw historyczno - moralnych zarówno w imię piękna, jak w imię wartości bardziej niż ono względnych, ba, nawet urojonych.

Wyka popełnia moim zdaniem błąd, dając tendencjom estetyzowania w poezji Miłosza wyłącznie tłumaczenie psychologistyczne. Tu nie chodzi o estetyzm, czy też o jakąś postawę pogardliwą, czy też życzliwą poety w stosunku do jego bliźnich. Nie o stan uczuć poety, ale o właściwą interpretację rzeczywistości.

Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że podobnie jak katastrofizm był emanacją prądów kulturalnych niesprzyjających kształtowaniu się i rozwojowi postaw niosących ratunek światu, zagrożonemu zalewem obskurantyzmu i barbarzyństwa, tak utopijno-marzycielska i zamącająca hierarchię ważności zagadnień walki człowieka o swój los, późniejsza poezja Miłosza nie stanowiła i nie stanowi dobrej busoli dla tych, którzy nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co stanowi jej istotną wartość, nie umieją wyanalizować jej z morza wątpliwych ocen i sugestyj. Z drugiej strony nie ma nic bardziej bezwyjściowego, niż stanowisko tych, którzy urzeczeni atmosferą sztucznego wyizolowania zagadnień artystycznych w latach międzywojennych sprowadzają ocenę tych wierszy wyłącznie do strony formalnej. Wyraźne tendencje ideologiczne mitów arkadyjskich Miłosza zdają się wskazywać, że sam autor nie chciał ograniczać sensu swojej twórczości do spraw formalnych.

Istota poetyckości zdaje się leżeć nie w samym micie arkadyjskim, ale w sposobie powiązania go z rzeczywistością historyczną poety. O micie arkadyjskim można i należy pisać, ale źle jest, jeśli nim zastępuje się to, co określa poetę na tym padole. Od takich określeń nie uciekał ani Dante w „Boskiej Komedii", ani Mickiewicz w „Dziadach", ani Słowacki w „Beniowskim". Nie zawsze ucieka od nich zresztą Miłosz, któremu bynajmniej nie poczytujemy za zarzut poezji publicystycznej. Pod warunkiem, że publicystyka i pamflet będą trafne.

Być może ze w opowieściach o więźniach, prowadzonych brzegiem Wisły w wierszu „Rzeka", gdzie idą oni

„posłuszni. Przywykłe do kaźni
Ciało ich rzeźwość chwyta. Kończą dzień — powszedni.
Nie dla nich żar przyszłości ani przepowiedzi
Astrologów na chmurach palące się zgłoski"
Niebiosa głuche, martwe, żaden sygnał boski
Nie spadnie błyskawicą na schylone głowy.
Ani im własnej nędzy wspominać—wiekowej.
Ni dochodzić, dlaczego karzi im przygina
Siła władcy, skąd kara ani czyn jest wina.

— być może, że w tym wierszu jest część ujmowanej przez poetę prawdy historycznej, psychologicznej. Możliwe, że w stwierdzeniu tej prawdy przez autora kryje się cień ironii. Tak samo w wierszu „Walc" gdzie jest podobna wizja („Jest taka cierpienia granica, za którą się uśmiech pogodny zaczyna, i mija tak człowiek i już zapomina o co miał walczy i po co"). Adrian Zieliński nie rozumie przebiegu historii, jest tragicznie naiwny, dla niego „ktoś dla goś na ulicy strzela" i nic go to nie obchodzi; nie odróżnia żółtego mleczu od gwiazdy. Poeta sugeruje, że należy mu się także „małe piórko litości". „Obywatel" pyta „któż jest winien, kto winien, o Boże?". „St. Ign. Witkiewicz" widzi w procesie dziejowym jedynie biologiczne zwycięstwo „płodnej ludzkości". Zmarli w „Kawiarni" znają tajemnicę śmierci, ich żyjący towarzysz widzi przed sobą nieskończone możliwości, nie widzi żadnej drogi życia. Półtragiczne, półironiczne zwątpienie w wartości ludzkiego wysiłku i celowej woli, apologia niesprecyzowanego bliżej dobra i piękna, wiara, że wszystko co jest — jest konieczne i dobre (poemat „Świat" — wiersz „Wiara") zamącenie proporcji i hierarchii spraw ludzkich, przemieszanie ich z procesami przyrodniczymi, kosmiczne zrównanie człowieka z mrówką — oto lista grzechów, które można mnożyć. Nie w tym celu, aby wytaczać oskarżenie poecie, jednemu z najlepszych w Polsce, ale, aby podkreślić, że, jeżeli są w poezji Miłosza duże trwałe, nieprzemijające dla poezji polskiej osiągnięcia, to wynikają one ze sposobu widzenia przezeń pewnych partii rzeczywistego świata, ale nie ze sposobem jego oceny. Nie z prób jego, zawartej w wierszach, filozoficznej interpretacji. Nie z tej, jednym słowem, części warstwy znaczeniowej jego utworów, która, nie wynikając bezpośrednio z poetyckiej wizji rzeczywistego świata, wizję tę usiłuje tłuma-

czyć wykładem uogólniających praw lub inną wizją, fantastyczną, skłamaną.

Poezja Miłosza wydaje się nam tym lepsza, im więcej ukazuje ze skomplikowanego i różnorodnego świata materii: obnaża jej walory sensualistyczne, a nawet świat doznań i przeżyć psychologicznych człowieka. Ocena zjawisk świata kultury jest natomiast u Miłosza nie zawsze trafna. Problematyka walki o wyzwolenie i los dzisiejszego człowieka ukazana jest w załamaniu nie odpowiadającym ani jej istotnemu przebiegowi, ani jej pełnej perspektywie. Środki artystyczne niejednokrotnie przerastają w poezji Miłosza swoją funkcją i deformują koncepcję. Ta opezja jest może „oczyszczeniem", grecką „katharsis", dzięki wywołanym przez nią obrazem piękna, ale „ocaleniem" w tym znaczeniu, jakie mu nadaje autor, nie jest, nie wskazuje bowiem żadnych dróg, nie kanalizuje, (poza jedynym może pamfletem przeciwko Jadźwingowi, ten zaś jest raczej szkicowo potraktowany pod względem artystycznym) — namiętności autora. „Nieudzielanie moralnej aprobaty złu" — to mało. Do człowieka należy niekiedy wybór dobra. W czasie, w którym powstawały wiersze Miłosza, takim wyborem była pewna określona postawa ludzka, najszerzej rozumiana: nie postawa zbłąkania, lecz właśnie dojrzenia w oślepiającym świetle dziejów, że trzeba walczyć, we wrogu widzieć wroga, w konkretnym oddziaływaniu na społeczeństwo w pewnym kierunku — ocalenie. Tych rzeczy ludzie nie wiedzieli, na te rzeczy czekali, te należało im ukazać. I Miłosz wiedział o tym, skoro na szkodliwą książkę Jadźwinga reagował pamfletem. A mimo to w „Głosach biednych ludzi" ukazywał raczej perspektywy inne.

* * *

Mija rok od chwili ukazania się „Ocalenia" na półkach księgarskich w Polsce. Jakiekolwiek byłyby nasze krytyczne sądy na temat tej książki, nie zmienią one faktu, że tom Miłosza jest z wielu względów rzadką, wyjątkową i niezwykłą pozycją poetycką na naszym rynku wydawniczym i czytelniczym. Czas, który upłynął od chwili jej ukazania się, może być tylko czasem pogłębienia się stosunku do niej, nie czasem jej zapomnienia. Temu celowi mają w założeniu swym służyć niniejsze uwagi.

Ryszard Matuszewski

Przegląd socjalistyczny

Ukazał się już numer 12 (14) „Przeglądu Socjalistycznego" o następującej treści:

Polska Partia Socjalistyczna do ludu pracującego miast i wsi

J. Topiński — Na drodze do umowy o jedności działania

W. Roczek — Zagadnienia organizacyjne

J. Hochfeld — W sprawie socjalistów niemieckich (Do towarzysza z Labour Party list drugi)

K. Sokołowski — Drożyzna

R. Lessel — Projekt ustawy o związkach zawodowych

A. Steinsberg — Zagadnienia ustrojowe we Francji

J. N. Miller — Socjalistyczny humanizm Andrzeja Struga

Kartki z historii socjalizmu

D. Kłuszyńska — Maria Gertruda Paszkowska (Gintra)

Na horyzoncie

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami

Idee — Myśli — Zagadnienia

St. Kowalewski — Narodziny związków zawodowych w byłym Królestwie Polskim

St. Gross — Szlakiem nowych doktryn prawnych

A. Fidler — „Dobrzy Niemcy"

A. B. — Uniwersytety Powszechne TUR we Francji

J. Fietkiewicz — Sun-Jat-Sen (W 35 rocznicę rewolucji chińskiej)

A. F. — Problem dobrej woli

L. Bukowiecki — Scenariusz podstawą dzieła filmowego

Z życia partii—Notatnik referenta — Książki i czasopisma nadesłane

Cena numeru zł. 20.—

Warunki prenumeraty na r. 1947:

Kwartalna	— zł. 50.—
Półroczna	— zł. 100.—
Roczna	— zł. 200.—

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego 18 m. 24

Konto PKO „Przegląd Socjalistyczny", Warszawa I 1161.

SEWERYN POLLAK

POLONICA POETYCKIE PO ROSYJSKU

Poezja polska nie była zbyt popularna w Rosji, znajomość jej tam była zawsze znacznie mniej powszechna, niż znajomość jakiejkolwiek innej poezji europejskiej, nie mówiąc już oczywiście o francuskiej. Niemniej na przestrzeni historii literatury rosyjskiej zawsze poezja polska znajdowała swych wiernych zwolenników wśród najwybitniejszych poetów rosyjskich, a spośród nich — mniej gorliwych, dorywczych tłumaczy. Zainteresowanie poezją polską przechodziło w Rosji kilka okresów nasilenia, a tłumacze rosyjscy, począwszy od Puszkina, w przeciwieństwie do tłumaczy polskich, którzy niejednokrotnie poza arcydziełami przekładali utwory drugorzędnych poetów rosyjskich, prawie wyłączną uwagę poświęcili Mickiewiczowi, a dopiero w nowszych czasach, w okresie symbolizmu — Słowackiemu. Tłumaczą więc Mickiewicza: Puszkin, Kozłow, Wiaziemski, Benediktow, Majkow, Fet, Bunin, Słowackiego — Balmont i inni pomniejsi. Jak widać choćby z tego niepełnego zresztą spisu tłumaczy, zainteresowanie dwoma naszymi największymi poetami: — Mickiewiczem na przestrzeni stu lat, a Słowackim od lat kilkudziesięciu — jest stałe i niezmienne. To też nic dziwnego, że obecnie, w okresie wzmożonych stosunków kulturalnych pomiędzy ZSRR a Polską, Goslitizdat (Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej) przede wszystkim postarał się o wydanie rosyjskich przekładów Mickiewicza i Słowackiego, wydając zresztą prawie jednocześnie wybór poezyj Konopnickiej, a ze współczesnych — Tuwima. Oczywiście te cztery tomiki rosyjskie polskich poetów nie mogą dać rosyjskiemu czytelnikowi w minimalnym choćby stopniu obrazu poezji polskiej, zwłaszcza, że istniejące dotychczas przekłady innych poetów, jak zaznaczyłem już — dorywcze i przypadkowe, stały się bibliograficzną rzadkością. Braki te w pewnym stopniu w stosunku do współczesnej poezji polskiej zaspokoi układana obecnie antologia w przekładach najwybitniejszych tłumaczy — ukazanie się jej Goslitizdat zapowiada na rok bieżący.

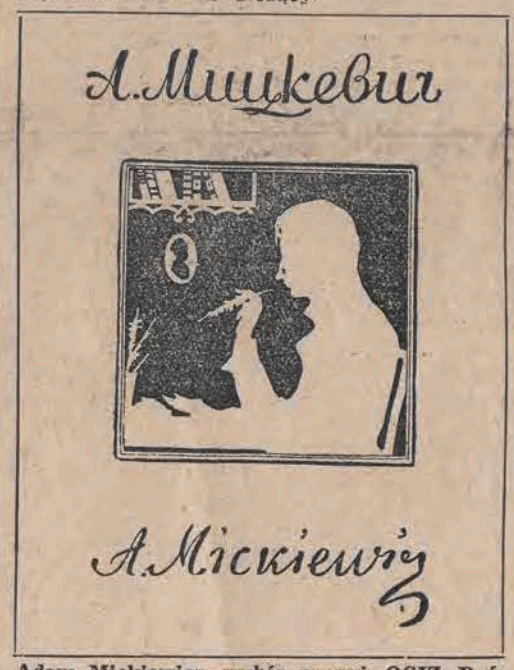

Adam Mickiewicz, wybór poezyj, OGIZ, Państwowe Wyd. Lit. Pięknej 1943, nakł. 25 tys. egzemplarzy.

Pierwszy z wymienionych tu tomików, szczupły wybór poezji Mickiewicza, poprzedzony życiorysem poety pióra H. Usijewicz, ukazał się jeszcze w 1943 r., w roku największych zmagań z najazdem hitlerowskim, gdy zdawałoby się nie było czasu na przyswajanie literaturze rosyjskiej dzieł polskiego poety. Tomik otwiera przekład „Do przyjaciół Moskali" pióra W. Lewika, następnie idą przekłady sześciu ballad, między innymi znane puszkinowskie tłumaczenia „Czatów" i „Trzech Budrysów" oraz „Świtezianki" w przekładzie Feta. Z kolei widzimy cztery dość przypadkowo dobrane wiersze: „Pieśń filaretów", „Do Niemna", „Do M..." i „Śmierć pułkownika", kilka sonetów krymskich, spośród których „Stepy akermańskie" pięknie przełożył Bunin, „Farysa", dwa fragmenty z „Wallenroda" (jeden z nich, wstęp w tłumaczeniu Puszkina) krótki urywek z „Pana Tadeusza", oraz jako suplement kilka artykułów z „Trybuny ludów". Umyślnie dość dokładnie podałem tutaj zawartość tomiku, aby pokazać, że w pewnym, minimalnym oczywiście stopniu może on dać wyobrażenie o twórczości Mickiewicza.

Przekłady, jak łatwo to przewidzieć, nie są równe pod względem poetyckim i formalnym. Obok wspaniałych, choć niezbyt wiernych przekładów puszkinowskich, których nie będę tu analizował, odsyłając zainteresowanych do wyczerpującej rozprawki J. Tyca „Puszkinowskie przekłady z Mickiewicza" (w II tomie pracy zbiorowej pt. „Puszkin", wydanej w 1937 r. pod redakcją W. Lednickiego) znajdują się tłumaczenia stosunkowo słabe, nie dające wyobrażenia o poezji Mickiewicza. Do najsłabszych bodaj w całym zbiorze należy przekład „Romantyczności", dokonany przez T. Szczepkinę-Kupernik. Nie mówiąc już o fałszywie zastosowanej transpozycji metrycznej, należy zwrócić uwagę na niedopuszczalne zbanalizowanie tekstu. Dla przykładu: mickiewiczowski tekst „Przy tobie nie ma żywego ducha. Co tam wkoło siebie chwytasz? Kogo wołasz, z kim się witasz?" tłumaczka przerabia w ten sposób: (podaję dosłownie) — „Przy tobie tu nikt nie dyszy. Więc po co biegniesz? Kogo doganiasz i z kim mówisz?" Ze strofy „Czucie i wiara silniej mówi do mnie..." tłumaczka robi prozaiczny wykład: „A znaczenie uczucia i wiary jest olbrzymie i ważniejsze dla mnie niż okulary(!) mędrca!".

Bardzo dobre przekłady „Lilji" i „Uciecz-ki" dał S. Mar, który zręcznie związał pewne folklorystyczne rosyjskie zestawienia słowne z tekstem ballad. Na przykład dystych:

Knaź pirujet dni i noczi,
Panna wypłakała oczi

jest doskonałym ekwiwalentem mickiewiczowskiego „Książę ucztuje we dworze, A panna płacze w komorze", organicznie zrośniętym przy tym z rosyjską idiomatyką ludową.

Zabawne nieporozumienia znajdujemy w przekładzie „Świtezianki", dokonanym przez znakomitego liryka Atanazego Feta (1820—1892). Nieporozumienia te są przy tym przykładem jak tłumacz, należący do innej szkoły poetyckiej, reprezentujący jako poeta inne treści socjalne, swoiście zmienia i zabarwia styl oryginału, przez nieodpowiednie użycie choćby jednego tylko słowa. Romantyczne „Stój, stój, — odpowie — hardy młokosie! Pomnę, co ojciec rzekł stary" u Feta przekształca się w „Stój! stój! Odpowiem dumnemu mężczyźnie(!), wspominając zwyczaje ojca". Zdawałoby się, że to oczywiste niezrozumienie tekstu. Tak, lecz i coś więcej jeszcze, zwłaszcza, gdy „dzika wietrznica" zmienia się u Feta w „wiertliawuju dikarku", czyli w „ruchliwą dzikuskę". Ta wulgaryzacja więcej świadczy o mieszczańskości Feta niż cała jego „czysta" liryka. Świadczy o tym również taka na przykład nieudana stylizacja:

W kapljach czeło jeja miagcze sijajet
Roz biełosnieżnych zawoja,

co ma znaczyć:

Jej twarz jak róży bladej zawoje
Skropione jutrzenki łezką,

ale nie znaczy, gdyż po rosyjsku zawoj, zawojek lub zawojka znaczy tylko i wyłącznie — potylica, kark, a także część grzywy, futra z karku zwierzęcia. (W. Dal, „Słownik języka rosyjskiego". T. I. str. 1402).

Amfibrachicznego metru użył S. Mar zarówno przy tłumaczeniu wiersza „Do M..." (Precz z moich oczu...), pisanego w oryginale jedenastozgłoskowcem sylabicznym, jak i w przekładzie w oryginale amfibrachicznej „Śmierci pułkownika". Darujmy mu to, gdyż przekłady są dobre.

Utarła się z dawna tradycja tłumaczenia „Sonetów krymskich" pięciostopowym jambem z średniówką po trzeciej stopie. Gdyby czytać te wiersze — jak to niejednokrotnie w zastosowaniu do jambów polskich usiłuje czynić Łoś — eliminując ich toniczność, to otrzymalibyśmy w systemie sylabicznym schemat: 6+7 i 6+6 zamiast jak w oryginale 7+6. W ten sposób tłumaczyli „Sonety krymskie" już Kozłow i Wiaziemski. W jedynym znanym mi sylabicznym przekładzie tych sonetów, który, niestety, zginął w czasie wojny, praktyczna zmiana polegała na umieszczeniu średniówki tak jak w oryginale, co mile brzmi dla polskiego ucha, lecz zdaje się razić Rosjan.

Bardzo interesującą próbą jest przekład fragmentu „Pana Tadeusza" — gry Wojskiego na rogu — wierszem tonicznym 5-cio akcentowym. Tłumacz I. Aksienow skomplikował przytem nieco układ toniczny starając się, choć nie zawsze, umieścić średniówkę po siódmej zgłosce i pozostawiając nierówną ilość sylab w drugiej części wiersza. Trudno osądzić, jak wyglądałby cały „Pan Tadeusz" w ten sposób przełożony, lecz w przytoczonym fragmencie falowanie dźwięków, może przez to, że związane jest z tematem wybitnie muzycznym, sprawia pomimo obcości osnowy metrycznej wrażenie bliskości do oryginału.

Z wręcz odmiennych założeń wychodzi płodny tłumacz z poezji polskiej, A. Kowaleński. Tłumaczy on polskie wiersze sylabiczne na język rosyjski miarą oryginału, co jak już wspomniałem, mile brzmi dla ucha polskiego, a jest dla współczesnej poezji rosyjskiej pewnego rodzaju rewolucją, gdyż od czasów Trediakowskiego system toniczny i sylabotoniczny panuje tam niepodzielnie. W ten sposób tłumaczona jest przez Kowaleńskiego wydana oddzielnie w 1944 r. w Moskwie „Grażyna". Jedyną odmianą metryczną jest tu występujące niekiedy przesunięcie średniówki ze zgłoski piątej na czwartą, na pozycję mocną. Sam przekład jest bardzo wierny i językowo bardzo poprawny, tłumacz w bardzo dyskretny sposób aplikuje polonizmy, o tyle tylko, ile tego wymaga konieczność lokalizacji utworu, a jednocześnie nie zrusz-cza go w sposób dla nas śmieszny, tak jak pewien dawny przekładowca, który sam tytuł „Pana Tadeusza" przetłumaczył na „Gospodin Fadiej". Jeśli dodamy do tego, że Kowaleński w miarę możności starał się nic nie uronić z obrazowania oryginału, że z wielkim pietyzmem odniósł się do tekstu poematu, to dojdziemy do wniosku, że „Grażyna" jest już dostępna w pełni czytelnikom rosyjskim, a stwierdzenie to jest właściwie dużą pochwałą dla tłumacza.

Juliusz Słowacki, Wybór poezyj, przełożył A. Kowaleński, Biblioteka Słowiańska, OGIZ Państw. Wyd. Lit. Pięknej. Moskwa 1945. Nakład 25 tys. egz.

Mniej natomiast równy pod względem poziomu przekładów jest dość obszerny, bo przeszło 200 stronicowy wybór poezyj Słowackiego, tłumaczony w całości również przez Kowaleńskiego. Prócz wyboru liryk tom, poprzedzony życiorysem poety pióra Marka Ziwowa, rosyjskiego polonisty, zawiera dwa poematy — „Jana Bieleckiego" (w fragmentach) i „W Szwajcarii", oraz „Lillę Wenedę". Zacznijmy od przekładów najgorszych i dla przykładu zanalizujmy III-cią część „Ody do wolności". Najmniejszym bodaj już błędem było dodanie do każdego pięciozgłoskowca oryginału jeszcze dwóch zgłosek. Gorzej, gdy w sposób niedopuszczalny tłumacz zaczyna gospodarować w tekście samym:

Wsia Jewropa wo wriemia ono
Była goticzeskim chramom, —
Skrepłała wiera kołonny —

— to bardzo dobrze, gdyż jest to dosłowny przekład polskiego

Niegdyś Europa cała
Była gotyckim kościołem.
Wiara kolumny związała,

lecz już następne zdanie jest karygodnym spaczeniem tekstu. Słowacki mówi: „Gmach niebo roztrącał czołem", a Kowaleński tłumaczy: „Baszni w niebo rosli fimiamom", co po polsku znaczy: „Wieże rosły w niebo jak wonie, jak dym kadzidlany". To jest tylko pozornie „w duchu" Słowackiego, który nie mógł w ten sposób pisać w okresie warszawskim w 1830 roku. Ale ta młodopolszczyzna jest niczym wobec zdań następnych.

Słowacki:

Drżącym od starości głosem
Starzec, pochylony laty,
Trząsł dumnych mocarzy losem,
Zaglądał w królów siedziby.

Kowaleński:

W eti gody driewnij, kak Chronos,
Stariec dierżawnym słowom
Razdawał korolam korony,
Zaglądywał w ich alkowy.

Dosłowny przekład polski jest tu zbędny tam młodopolszczyzna „pod Słowackiego", — tu fałsz i niewiadomo dlaczego... niedyskrecje lubieżnego staruszka.

Kowaleński w przekładach z Słowackiego nie zawsze pamięta o kardynalnym obowiązku każdego tłumacza — obowiązku zachowania obrazu poetyckiego. I dlatego zdarzają mu się na przykład takie potknięcia, iż „Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę" tłumaczy: „Umrę w drodze, ubogi pątnik", przy czym na to ostatnie określenie używa archaicznego zwrotu „kalika pieriechożij", który w potocznym języku ma znaczenie — nędzarz. Również razić musi przesunięcie, obniżenie tonacji wypowiedzi w następnej z kolei strofie „Hymnu o zachodzie słońca" — „Kości moich nie uchroni nawet ubogi wzgórek na

straży nad martwym popieliskiem" — powiada Kowaleński. A gdzie tu kolumnowe czoła? — zapyta każdy Polak. Niestety, nie ma ich, zamieniły się w martwe popielisko.

Nie zawsze jednak jest winą tłumacza, gdy nie zdoła on dać odpowiednika obcojęzycznego oryginału, zwłaszcza, jeśli oryginał jest dziełem wielkiego poety. Przyczyną tego są zdaje się niepowtarzalne zestawienia słownopojęciowe, nieodtwarzalne skojarzenia dźwięków, które również przecie posiadają w sobie ładunek semantyczny. I dlatego nie mogę mieć pretensyj do Kowaleńskiego, że poprawnie tylko, ale tylko poprawnie, przełożył „Bo to jest wieszcza najjaśniejsza chwała", bo zdaję sobie doskonale sprawę, że najtrudniej jest tłumaczyć wiersze proste i w prostocie swej doskonałe. I choć czytając taki przekład uczuwa się coś w rodzaju niedosytu — należy mieć nadzieję, że większe zapewne wrażenie wywrze on na czytelniku rosyjskim, który nie zna oryginału.

Ale nie znęcajmy się nad tak zresztą dobrym i sumiennym tłumaczem, jakim jest Kowaleński, błędy jego — prócz błędu niewierności obrazu poetyckiego — są przeważnie nieuniknione i każdy z nas je powtarza, a wielką jego zaletą poza ilością przełożonych z języka polskiego utworów jest zaciekłość eksperymentatora w transponowaniu polskich wierszy sylabicznych na sylabowce rosyjskie, w przełamywaniu tradycji rosyjskiej sylabotoniki.

Niecały przytem Słowacki w przekładach Kowaleńskiego wypadł tak niezręcznie, jak cytowane powyżej. Kowaleński ma również tu pozycje nie tylko dobre, ale i bardzo dobre. Do takich pozycyj bez wahania zaliczyłbym „Grób Agamemnona", a zwłaszcza „Jana Bieleckiego" i „W Szwajcarii". Cytowałem stawiając zarzuty, zacytuję i tu:

Ona uszła, kak niekij son czudiesnyj,—
Ja gibnu w gorie, wjanu ja w pieczali...
Zacziem dusza so dna judoli tiesnoj
Nie ulietajet w angielskije dali
K ogradie raja niepokoliebimoj,
Za niej, spasiennoj,—kniej mnogolubimoj?...

W tym miejscu docieramy do pewnych zagadnień ogólnych, które trudno mi tu na marginesie recenzji, rozwiązywać, lecz nie mogę oprzeć się temu, by ich nie poruszyć. Dlaczego tak trudny zdawałoby się do tłumaczenia poemat, jakim jest „W Szwajcarii" Kowaleński przekłada doskonale, zachowując cały subtelny tego poematu koloryt, a „nie wychodzą" mu rzeczy zdawałoby się łatwiejsze? Dlaczego udał mu się przekład „Grażyny"? Odpowiedź nie jest prosta, lecz zdaje się, że należy jej szukać w tezie, że odpowiednki znaczeniowo-emocjonalne kryją się nie tylko w doborze słów, lecz również i w zgodnym z oryginałem rozłożeniu na siatce rytmicznej walorów dźwiękowych, przyczym wbrew ogólnie u nas utartym zasadom (których wiernie trzymał się dotąd i niżej podpisany w swej praktyce tłumacza) zasada dokładnego odtwarzania metryki oryginału nie jest warunkiem nieodzownym i należy stosować ją bardzo elastycznie. Te same dobre rezultaty osiąga np. Kowaleński tłumacząc „Grażynę" miarą oryginału i transponując polski jedenastozgłoskowiec sylabiczny „W Szwajcarii" na pięciostopowe jamby, lecz przytem starając się o zachowanie w obu przekładach elementów dźwiękowo - emocjonalnych i właściwości syntaktyczno - obrazowych oryginałów. Praktyka dawnych naszych tłumaczy również zdaje się o tym świadczyć — nie mówiąc już o Mickiewiczu. Syrokomli nawet się nie śniło, że obowiązuje go przy tłumaczeniu warunek ekwimetryczności, a przecież nikt nie może mu odmówić miana doskonałego tłumacza.

Podobnymi jak i w tłumaczeniach z Słowackiego wadami i zaletami odznacza się tomik przekładów z Konopnickiej, dokonanych przez Kowaleńskiego. Nie będę tego zbioru omawiał tu szerzej, gdyż dokładny jego rozbiór formalny dał już Leon Gomolicki w Nrze 15 „Kuźnicy". Słów parę tylko powiedzieć tu należy o samym doborze tłumaczonych wierszy. Kowaleński starał się możliwie najpełniej zobrazować twórczość Konopnickiej, jednakże, ponieważ nie znał zapewne współczesnych ocen tej twórczości, pewne utwory, zwłaszcza wiersze włoskie, które odczuwamy dzisiaj jako zbyt „pocztówkowe", zajęły w tomiku miejsce, jakie przeznaczyć by należało raczej na rozszerzenie działu wierszy społecznych. Brak naprzykład z tego działu tak charakterystycznych dla Konopnickiej wierszy, jak „Przed sądem" i „W piwnicznej izbie". A przecież ta właśnie strona twórczości Konopnickiej winna była najbardziej zwrócić uwagę rosyjskiego tłumacza, gdyż można tu przeprowadzić wyraźne paralele, a może i nici wiążące ze znakomitym rosyjskim poetą społecznym i ludowym — Niekrasowem.

Niestety, nie mogę omówić tu ostatniej z wymienionych uprzednio pozycyj spośród poetyckich poloników po rosyjsku — wyboru poezyj Tuwima, gdyż wybór ten jeszcze do nas nie dotarł. Omówię go zatem osobno.

Seweryn Pollak

PAN FILIP

Pan Filip jest człowiekiem rozumnym i wolnym od przesądów. Uważa się za radykała, w młodości czytywał Bebla, ciotki mówiły o nim: „Nasz Filip to rewolucjonista", a sam powiada o sobie, że nie cierpi zacofania. Spędzam z nim czasem długie godziny na rozmowach. Pan Filip ma pozytywny stosunek do reformy społecznej, ale rezerwuje sobie pewne wątpliwości. „Mój drogi", powiada, klepiąc mnie po ramieniu, „reforma rolna, unarodowienie przemysłu? Przecież całe życie o to walczyłem. Ciotka ci opowie. Demokracja to moja, że tak powiem, mania. Ale — tu zmrużył porozumiewawczo oko — prawdziwa demokracja, prawdziwa, panie, nie tylko w słowach, ale demokracja ad usum człowieka, demokracja starej, panie, daty. O to walczyliśmy, ciotka ci opowie".

„Filipie" odpowiadam „wiem o czym mówisz. Ta prawdziwa demokracja starej daty istnieje dziś w Anglii". „O, to, to!" kiwa głową pan Filip, chwaląc mnie za domyślność. „Jej zasady polityczne oparte są o „Deklarację praw człowieka i obywatela" ciągnę dalej „sformułowaną przez Wielką Rewolucję Francuską. Czy nie mylę się, Filipie?" spytałem, a on pochylił głowę uroczystym ruchem. „Był to koniec wieku XVIII, książką, jaką chętnie w tym czasie czytał oświecony mieszczanin lub postępowy arystokrata, była książka Adama Smitha o „Badaniach natury i przyczyn bogactwa narodów". Czy uważasz to za przypadek?" „Co?" zdziwił się pan Filip. „To że bezpośrednio przed, podczas i po rewolucji francuskiej czytywano tak chętnie książki zalecające oparcie życia społeczno-gospodarczego na swobodnej grze interesów jednostek, na wahaniach podaży i popytu, na wolności od interwencji państwa w produkcji i wymianie... Pomyśl, Filipie, że są to zasadnicze podstawy „twojej" demokracji, tej prawdziwej, jak mówisz. Wolność i własność w „Deklaracji Praw" to ta sama wolność i własność o jakiej pisał Smith, wolność i własność liberalizmu gospodarczego". „Zgoda!" zmarszczył się pan Filip, „ale nie widzę w tym żadnego argumentu. Co ma jedno do drugiego? Wiem co chcesz powiedzieć: anarchia produkcji, wyzysk robotnika, nadwartość i tak dalej. Całe życie z tym walczę. Rozumiem: reformy i gospodarka planowa. Ale czy to musi oznaczać brak wolności osobistej?"

„Filipie" przerwałem mu „zachowujesz się jak stary demagog. Mówisz tylko tę prawdę, która jest ci wygodna. Jeśli się chce wymienić wszystkie konsekwencje „leseferyzmu" w ich historycznym rozwoju, porządek rzeczy musi być następujący: wyzysk robotnika, państwo mieszczańskie tępiące klasowy ruch pracowniczy, bezplanowość produkcji i bezrobocie, nadprodukcja i niszczenie dóbr przekraczających popyt rynku, eksploatacja moralna i fizyczna „ludów surowcowych", kapitał finansowy i wojny imperialistyczne, a wreszcie — faszyzm!"

„Pardon" — żachnął się pan Filip. „W Anglii nigdy nie było faszyzmu!" „Prawdziwym demokracjom obce są wszelkie formy przymusu".

„Na wyspie angielskiej" odparłem „nie było faszyzmu, bo jego funkcje spełniano w koloniach. Mówcy w Hyde Parku mogą bezpiecznie nawoływać do rewolucji, ale niechby próbował to czynić Hindus w Bombayu, albo czarny górnik w Transwaalu, drogi Filipie Twoja demokracja, jest rzeczywiście starej daty: sprzed półtora wieku. Przez ten czas pomogła zbogacić się i wyrżnąć między sobą kilku pokoleniom. Jeśli dziś utrzymuje się jeszcze w starej formie i na starych podstawach, to tylko w tych krajach, gdzie specyficzne warunki łagodzą sprzeczność nietylko między pracodawcą a pracownikiem, wytwórcą a konsumentem, trustem a członkiem związku zawodowego, policjantem a rewolucjonistą, lecz również między dentystą a pacjentem, oraz zięciem a teściową. Są to, Filipie, kraje kolonialne, morskie, wysoko uprzemysłowione, bogate i uchronione od ciosów historii.

„Co ma piernik do wiatraka?" obruszył się pan Filip „co ma wolność osobista do przemysłu i ciosów historii?"

„Demokracja ludowa, Filipie, to demokracja wolna od trustów. Tak powiedział Maurycy Thorez na zebraniu w Paryżu. Naród po klęsce lub zniszczeniach chce odbudować swój byt. Ale po ciosach narody stają się mądrzejsze. Chcą zabezpieczyć się na przyszłość odbudować siły na szerszych podstawach Dać możność decyzji o losach kraju warstwom, które tworzą jego bogactwo, dać im udział w tym bogactwie, założyć własność społeczną, rozpędzić trusty i koncerny..."

„Jeszcze nie widzę związku!" zawołał pan Filip. „Przecież całe życie..."

„Całe życie o to walczyłeś" podjąłem. „Opowiadała mi ciotka. Ale trusty bronią swej własności. Nie dostrzegacie tego, ty i tobie podobni. Bronią jej za pomocą sieci agentów, komiwojażerów, dyplomatów, wodzów i ideologów. Za pomocą narzędzi świadomych i nieświadomych. Kto wie, czy nie jesteś jednym z nich, choć pełen tak dobrej woli. Organizm państw odbudowujących się po ciosach historii na nowych podstawach musi odpierać ofenzywę wywłaszczonych. Ofenzywę zewnętrzną i wewnętrzną, duchową i materialną: obcych gabinetów i rodzimego lasu, sabotażu i sceptycyzmu. Jest to walka o stare swobody kapitalistyczne przeciw gwarancjom wolności, które daje reforma. Reformy trzeba bronić. Młoda demokracja ogranicza wolność osobistą tam, gdzie zaczyna się sabotaż, „las" i podległość obcym gabinetom. Tyle ma wolność osobista do przemysłu i ciosów historii, kochany Filipie".

Ale pan Filip nie chce tego zrozumieć. Wynika to z braku odwagi. Z lęku przed rewizją swych omyłek. Z niechęci ujrzenia prawdy czasem niemiłej. Tej odwagi pan Filip nie posiada.

Kandyd.

PRZEGLĄD PRASY

Ostatnie w roku ubiegłym numery czasopism literacko-społecznych ukazały się w znacznie powiększonej objętości. Wśród tych numerów świątecznych wyróżnia się zwłaszcza Nr 51-52 „Tygodnika Powszechnego". Pismo to, niewątpliwie jedno z niewielu utrzymanych na wysokim poziomie zarówno literackim jak i ideologicznym, było nieraz atakowane przez „Kuźnicę". Kontrowersja między dwoma reprezentatywnymi dla dwóch zasadniczych torów myśli polskiej tygodnikami trwa i trwać będzie, nie znaczy to jednak, że nie potrafimy ocenić rocznej pracy naszego przeciwnika. Choć zasada „fair play" nie zawsze daje się utrzymać w okresie ostrej walki politycznej i ideologicznej, choć nasi przeciwnicy, rozmieszczeni bliżej i dalej front tu wzdłuż którego od roku przeszło toczy się walka już nietylko o teorię, ale przede wszystkim o konkretne, praktyczne jej wyniki, nieustannie tę zasadę uczciwej gry naruszają, to jednak pozycja „Tygodnika" jest bezsporna. „Tygodnik Powszechny" jest przeciwnikiem poważnym w odróżnieniu od „Tygodnika Warszawskiego", grupując wokół siebie najlepsze pióra literackie wyprzedza w tej dziedzinie „Dziś i Jutro", którego żywa i interesująca publicystyka została omówiona przez mnie dość obszernie w jednej z poprzednich kronik. Lekturą „Tygodnika" pocieszam się zawsze po odczytaniu tego, co p. Dzikowski wypisuje w „Gazecie Ludowej", a p. Braun w „Tygodniku Warszawskim". Chińska doprawdy to pociecha, bowiem głos ks. Michalskiego nie zagłusza niestety, głosu ks. Kaczyńskiego, Wacław Borowy nie zdominuje estetycznych rozważań Brauna, a Stefan Kisielewski pisuje w całej prasie katolickiej.

Nr 51-52 „Tygodnika Powszechnego" otwiera praca ks. Konstantego Michalskiego: „Alfą i Omega". Ta praca jednego z najwybitniejszych współczesnych myślicieli katolickich w Polsce rozważa sprawę szczęścia człowieka na ziemi i powołując się na Ojców Kościoła wskazuje, iż nie ma sprzeczności między nauką Kościoła i postulatami szczęścia, że chrześcijaństwo jest bazą, na której człowiek może uregulować wszelkie narosłe sprzeczności życia społecznego. „Mam nadzieję — pisze ks. Michalski — że nie zgrzeszę przeciwko prawdzie, kiedy powiem, że wielone Słowo jako Alfa i Omega, początek i koniec wszystkiego, odezwie się: byłem głodny, a daliście mi jeść, byłem nagi, a odzialiście mnie, odezwie się tak nietylko do miłosiernych, lecz i do milionowych rzesz pracujących, bo one dają chleb, one przędą odzież na warsztatach, one są miazgą żywiącą narody".

Przechodząc od pięknie napisanego artykułu ks. Michalskiego, do następnej pozycji, do artykułu ks. Piwowarczyka „Wychowanie mas", schodzimy na teren praktycznych zagadnień, jakie zamierza rozwiązać w myśl swojego programu katolicyzm polski reprezentowany przez „Tygodnik Powszechny". Autor, stwierdzając, że głównym aktorem dziejów są dziś masy ludowe, pisze, iż przyczyny ich emancypacji leżą raczej w teoretycznych ideologiach niż w procesie rozwoju dziejowego, dzięki któremu masy te dojrzewały. Wydaje mi się, że autor pisząc, iż filozofia Marksa stanowi przyczynę „przemian, które w szeregu krajów Europy doszły lub dochodzą do skutku" mylnie przyjął jeden ze skutków za przyczynę, albowiem fakt, iż naukowe opracowanie stosunków w społeczeństwie i ujawnienie zawartych w nich implicite sprzeczności zostało dokonane w połowie XIX wieku, wskazuje wyraźnie na to, iż ideologia, która stała się narzędziem walki o wyzwolenie w ręku mas, sformowała się właśnie jako wynik doświadczenia historycznego, w którym masy grały już rolę świadomego podmiotu. Ks. Piwowarczyk, powołując się na tradycje programu społecznego Kościoła katolickiego (Leon XIII, Pius XI) domaga się, by Kościołowi w Polsce dana była możliwość bezpośredniego wpływania na młodzież w drodze organizacyjnej. Ks. Piwowarczyk powołuje się tu na przedwojenne organizacje młodzieżowe w Polsce i w świecie.

Sprawa jednak dziś, w roku 1947, za pontyfikatu Piusa XII, stoi nieco inaczej, niż w latach przedwojennych, zwłaszcza w Polsce. Kościół jako wychowawca mas — oto teza autora. Wszyscy pamiętamy, że ideologiczny i moralny poziom młodzieży zgrupowanej w katolickim „Odrodzeniu" był często wysoki.. Wiemy również, że od tych to stowarzyszeń katolickich odbywali swą trudną i piękną drogę do socjalizmu ludzie tacy, jak Henryk Dembiński. Pamiętamy proces wileński, w którym wszyscy prawie oskarżeni byli dawnymi członkami organizacji katolickiej. Na pewno dziś stowarzyszenie młodzieży katolickiej mogłoby spełnić ważną rolę. Ale czy mogłoby to być stowarzyszenie pozostające pod bezpośrednim kierownictwem hierarchii kościelnej? Dziś, gdy głowa tej hierarchii, Watykan, nie uznał dotąd zachodnich granic Rzeczypospolitej, gdy cała polityka watykańska jest ściśle związana z posunięciami Anglosasów, którzy niedwuznacznie wzmacniają Niemcy? Być może, że dla Watykanu jest rzeczą conajmniej obojętną, kto będzie sprawował świecką administrację na terenach diecezji na Ziemiach Zachodnich. Ale nie jest to obojętne dla polskiej ludności, która te ziemie zamieszkuje i której synowie i córki, według tezy ks. Piwowarczyka, mieliby zostać zorganizowani w ramach podporządkowanej hierarchii kościelnej organizacji katolickiej. Jak widzimy, konflikt to dość zasadniczy. Stwierdza ks. Piwowarczyk „brak stowarzyszeń katolickich jako formy wychowania mas", mówiąc jednocześnie, że „rozbudowało się w Polsce szeroko życie stowarzyszeń". Ale te stowarzyszenia, które ma autor na myśli są związane ideologicznie z ośrodkami politycznymi, pracującymi wewnątrz kraju i dla kraju. To też postulat ks. Piwowarczyka mógłby być realizowany w obecnej sytuacji zapewne tylko po linii tworzenia stowarzyszeń młodzieżowych katolickich, ale świeckich.

I oto teraz, po przeczytaniu znakomicie napisanego, pięknego artykułu ks. Michalskiego i po lekturze artykułu ks. Piwowarczyka, możemy porównać tezy. Jedna z nich, ideologiczna, którą cytowałem powyżej mówi o chrześcijaństwie, które wyzwala masy, będące podmiotem dziejów. Druga — praktyczna teza ks. Piwowarczyka — stwierdza po pierwsze, że masy te zostały w wielkiej mierze postawione w roli podmiotu historycznego przez kilku ideologów i filozofów, a po drugie, już w konkretnej, realnej kwestii jaką jest ich wychowanie, domaga się podporządkowania tych mas hierarchii kościelnej, która dziś, w roku 1947, udowodniła jasno swoim postępowaniem w sprawach polityki, dotyczącej Polski, iż nie sprzyja zbytniej emancypacji tych mas.

Ten konflikt między dwoma tezami — tezą ideologiczną i praktyczną — jest bardzo istotny dla całego zagadnienia katolicyzmu w Polsce. „Tygodnik Powszechny" nieraz już demonstrował nam, być może mimowiednie, te sprzeczności.

W dziale literackim numeru znajdujemy bardzo interesujący artykuł Wacława Borowego o ks. Bace, przekłady z poezji Pawła Claudela, artykuł o Claudelu pióra Marii Morstin-Górskiej. Oddzielnie wymienić należy artykuł w formie dialogu Marii Jarczyńskiej o Breughelu.

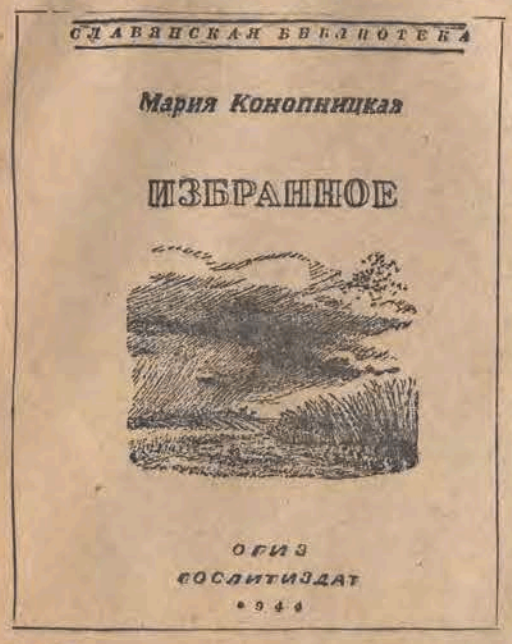

Maria Konopnicka, wybór poezji, przełożył A. Kowalenski, Biblioteka Słowiańska. OGIZ, Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej Moskwa 1944. Nakład 10.000 egz.

Świąteczny, podwójny i ostatni w roku 1946, numer „Odrodzenia" przynosi w przeważnej części materiały literackie. Z nich pozycją najbardziej interesującą jest artykuł Artura Sandauera „Kierunki literackie we Francji". Praca ta obszernie omawia i wyjaśnia istotę dwuch kierunków, z których jeden to przezwyciężony na korzyść humanizmu dawny surrealizm, drugi — egzystencjalizm. Szczególnie trafne wydaje mi się dokonane przez Sandauera zanalizowanie procesu przechodzenia dawnych przywódców surrealistycznej szkoły (Aragon, Eluard, Tzara) na pozycje racjonalizmu. „Irracjonalizm surrealistów — pisze Sandauer — był przejściem między dwoma rodzajami racjonalizmu: mieszczańskim i proletariackim, chwilowym vacuum, zawieszeniem piłki między dwiema parami wzniesionych rąk. Obecna ich postawa polityczna domaga się nowych środków wyrazu, gruntownego przetworzenia dotychczasowego stylu". Obszerniej omawia autor egzystencjalizm, podając zasadnicze tezy tego kierunku z powołaniem się na dzieła głównych inicjatorów tego prądu: Sartre'a, Camusa. Wreszcie Sandauer zwraca uwagę na wpływ współczesnej powieści amerykańskiej na dzisiejszą literaturę francuską, wskazując prozę behewiorystyczną jako ideał do którego dąży powieść.

Po długiej przerwie ukazał się 7-my kolejny zeszyt warszawskiego miesięcznika społeczno - literackiego „Lewy Tor". W numerze znajdujemy między innymi artykuł Wilhelma Billiga „Periculum in mora". Niestety, artykuł ten sam przez się, przez zawarte w sobie stwierdzenia i żądania stanowi niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, które wyraża się w tym, iż dotąd pokutuje jeszcze w naszej publicystyce inklinacja do spłycenia zagadnień literatury. Artykuł Billiga sprowadza je do funkcji na dziś. Długi wstęp wyjaśnia nam, jaka jest społeczna rola sztuki i powołuje się na okres romantyczny. „Dzieła ich — mowa o trzech wieszczach — żyły i tętniły tym, czym żył naród, dzieła ich odpowiadały na te podstawowe pytania, które nurtowały naród". Oczywiście — ale autor tych słów nie uwzględnił, że działalność literatnry w okresie porozbiorowym była taka właśnie dlatego, że poza literaturą naród nie miał innych trybun. Zastrzegając się, że oczywiście „mobilizacja sił narodu dla tych podstawowych zadań jakie stawia przed nim historia", choć nie jest jedyną, lecz jest podstawową funkcją sztuki i literatury, autor z lękkim sercem pomija te pozostałe „funkcje" i rozpatruje literaturę jedynie jako narzędzie trafiania do serc, przekonywania, wstrząsania, porywania i t.d. Automatycznie wypływa zagadnienie „upowszechnienia sztuki i literatury" i znów słyszymy truizmy o tym, że zmiana struktury ekonomicznej i socjalnej kraju musi się łączyć z natychmiastową zmianą struktury kulturalnej. Ale ta niestety rządzi się innymi nieco prawami, czego autor dostrzec zapewne nie chciał. Dlatego tylko może autor postawić tezę o stworzeniu trzyletniego planu kulturalnego. Plan, o ile by powstał, mógłby dotyczyć tylko administracyjnych spraw związanych z literaturą: wznowienia, przedruki, formowanie bibliotek i t.d. Ale rzecz prosta nie ma mowy o tym, by jakikolwiek urząd mógł cokolwiek zmienić w sytuacji literatury, na którą autor narzeka, iż „nie dąży za życiem". Literatura nigdy nie „dążyła za życiem", tak jak to sobie wyobraża autor artykułu. Pierwsze wielkie dzieło o kampanii napoleońskiej w Rosji powstało w kilkadziesiąt lat później była to: „Wojna i pokój". Być może, że wielkie dzieło obecnej rzeczywistości będziemy musieli poczekać równie długo, być może że zjawi się ono prędzej. Nie pomoże temu jednak napewno popędzanie i przynaglanie pisarzy, mówienie o postulacie treściowym, narzekanie na „wąskie koło smakoszów" i t.p. Tymi i podobnymi metodami, przy odpowiednim zbiurokratyzowaniu, jak sobie tego życzy autor, projektujący Państwową Radę Kultury, o której nam nie mówi, czy to ma być instytucja administrująca, czy też organ nadrzędny dla pisarzy (boję się, że to właśnie ma na myśli p. Billig), można oczywiście osiągnąć odpowiednią ilość książek o odpowiedniej problematyce w odpowiednio szybkim czasie. Wątpię jednak, czy to bardzo pomoże zarówno w podnoszeniu potrzeb kulturalnych szerokich warstw, jak i w podnoszeniu poziomu naszej literatury. Literatury bowiem nie można projektować zgóry, jest ona częścią kulturalnej nadbudowy bazy społeczno-ekonomicznej, przekształca się jednak nieskończenie wolniej. Mowa o zacofaniu i zaniedbaniu na odcinku kultury wynikać może jedynie albo ze złej woli albo ze złej orientacji w tych sprawach. Tej pierwszej nie podejrzewam, tę drugą radbym skierować ku źródłom: do niektórych tygodników społeczno-literackich, do tekstów kilku nowych powieści, na widownię teatrów, do księgarń wreszcie w których mimo leniwego tempa ukazują się przecież nieustannie wznowienia naszej literatury klasycznej.

Istotnym niebezpieczeństwem dla literatury jest nie to, że nie mamy dziś „Pana Tadeusza" lub wielkiej epopei narodowej na miarę sienkiewiczowską. Tych bowiem mieć nie możemy w drugim roku niepodległości i być może mieć nie będziemy jeszcze przez wiele lat choćby nawet powstała Państwowa Rada Kultury. Istotnym niebzpieczeństwem dla literatury są fałszywe, choć być może najlepszą nawet wolą podyktowane, przekonania o możliwości doraźnego wpływania na pisarstwo drogą tworzenia takich czy innych instytucji. Istotnym niebezpieczeństwem wreszcie są pośpieszne formułowania wyroków i opinji o literaturze i mniemanie, iż można ze skomplikowanego mechanizmu kulturalnej nadbudowy wyrwać jeden jej fragment i zmienić jego wygląd. „Caveant consules!" — pisze p. Billig. Periculum in mora! — odpowiadam mu wielkim głosem. **ph.**

Noty

Stara dobra Anglia

Jasio z pułku pancernego ożenił się w Szkocji. Polacy byli w modzie w Wielkiej Brytanii w 1940 roku. Byli rozchwytywani niczym gwiazdorzy filmowi jako jedyni wierni sprzymierzeńcy, według klasycznych zasad popytu i podaży ważnych zarówno w polityce jak i życiu erotycznym. Ożenił się z jakąś Doris Joyce czy Mabel. W harmonii polsko - szkockiego życia rodzinnego był tylko jeden ciemny punkt. Jasio okropnie marznął. Dom teściów jak wszystkie domy w Szkocji był zimny jak lodownia. Szare, szkockie domy mają tylko kominki. Działanie raczej a właściwie zupełnie moralne pomimo ton spalonego węgla. Gdy Jasio się zadomowił, trochę na migi, trochę za pośrednictwem żony udało mu się przekonać teścia, że jednak może warto by postawić w domu piec. Taki zwykły, polski piec. Bo to i grzeje i węglą wychodzi znacznie mniej i w ogóle.

Bohaterom polskim naonczas niczego nie odmawiano wobec czego piec stanął. Piec grzał, nie dymił, w domu nastało błogie ciepło, węgla wychodziło dziesięć razy mniej — raj. Cała wioska przychodziła grzać się do Mackphersonów a teść trzaskał z dumy, że ma takiego łebskiego zięcia .

Lata płynęły, piec grzał, wszyscy byli zadowoleni.

W 1944 Jaś zginął na froncie w Belgii czy Holandii.

Wdowa spłakała się trochę, niewiele, bo to niezdrowo, teść trochę żałował, nie bardzo, bo sprzymierzeńców było już wielu, cały świat. Jako jedyne wspomnienie po foreignerze, nie licząc kilkorga dzieci pozostał piec.

Piec grzał wprawdzie, ale...

Od czasów Wilhelma Zdobywcy, czy króla Roberta Bruce nikt nigdy o takim wynalazku nie słyszał. Poprostu wstyd było mieć coś, czego nikt inny nie miał. Rada w radę, nim się żałoba skończyła, piec rozebrano. Szary kamienny dom znów upodobnił się do

lodowni i wszystko było po staremu.

Historia autentyczna.

Tępy konserwatyzm, w wielu dziedzinach niechęć do inowacji odnosi się w Anglii nie tylko do epizodu z piecem.

To co było wzniosłe lat temu siedem, dwa czy wczoraj, a dzisiaj jest niewygodne przestaje istnieć. Gdy w dodatku nie rentuje się dla tych, którzy dysponują kapitałem staje się anatemą lub conajmniej nietaktem społecznym. A że w piecach zużycie węgla jest dziesięć razy mniejsze niż na otwartych kominkach a kopalnie węgla jeszcze nie są znacjonalizowane więc wniosek prosty: precz z piecem. **j. b.**

Laudator czasów saskich

Wacław Borowy już w drugim z kolei artykule ogłoszonym w „Tygodniku Powszechnym" usiłuje wybielić kulturę polską czasów saskich. Pierwszy z tych artykułów dotyczył poezji K. Bonisławskiej, drugi wierszy księdza Baki. Rozumiemy dobrze zainteresowanie katolickiego pisarza dla okresu, który cieszy się najgorszą sławą, a jednocześnie był okresem najsilniejszym, niepodzielnych wpływów kleru i kultury dewocyjnej w Polsce. Chciałoby się udowodnić, że z umysłowością Polską nie było tak haniebnie źle pod wyłącznymi rządami i wpływami wychowawczymi Kościoła. Ale dowód nie wychodzi!

Pięknie napisane i pełne nowych informacyj historyczno - literackich artykuły prof. Borowego wykazują tylko jedno, że ta osławiona u nas „kultura czasów saskich" nie rodziła się w zupełnej izolacji od źródeł, ówczesnej europejskiej, mitycznej myśli religijnej. Że nawet Baka swe wierszydła komponował, korzystając ze znanych mistyków hiszpańskich. Bardzo to ma bezkrytycznym czytelnikom „Tygodnika" zaimponować, że ks. Baka znał aż św. Franciszka Salezego, aż św. Teresę. Ale czego to ma dowodzić?

Te rewelacyjne hiszpańskie parantele, to czerpanie z ówczesnego „skarbca" myśli religijnej nie uczyniło naszego życia umysłowego doby saskiej ani na jotę mniej barbarzyńskim, ciasnym, zacofanym, obcym postępowi, którym tętniła wówczas mieszczańska Anglia i Francja — a nie mistyczna Hiszpania. Po prostu polska „kultura religijna" tych czasów, owoc mniszej ciemnoty, uporu i zamulenia życia wewnętrznego mistycyzmem była tyle warta, co i „kultura religijna" Hiszpanii, czy innych tam spóźnionych, mniszych ośrodków.

Nie pomoże blansz i róż! Rozumiem intencje profesora Borowego. Trzeba jednak w zgodzie z faktami społecznymi i historycznymi powiedzieć, że tak czy owak, okres wyłącznych wpływów wychowawczych i umysłowych sfer klerykalnych na Polskę, okres saski — był dobą upadku kultury, dobą ciemnoty i zacofania.

Profesor Borowy ironizuje surowe oceny różnych głośnych tekstów mistycznych dokonane przez starego Brücknera. Ależ stary miał rację! Bez neokatolickiego snobizmu! To, że jakiś tekst mistyczny był znany w całej Europie, że go zakonnicy wlekli z kraju do kraju i tumanili dymiące napitkiem iby szlacheckie — nie zmienia w niczym historycznego faktu, iż te teksty mistyczne w 17 w. były znakiem naszego złowrogiego zacofania, hańby i klęski narodu.

żlk.

Tydzień Jana Nepomucena, czyli Jan Nepomucen w „Tygodniu"

Pan profesor gimnazjalny J. N. Miller ciągle jeszcze nie może zapomnieć łódzkiego Zjazdu Literatów, gdzie niektórym pisarzom postawił niedostateczny stopień ze sprawowania. Każdy niemal tydzień przynosi pompatyczne biadolenie zamknięte w barokowych i zawiłych okresach, nad niestosownym zachowaniem „świeżo upieczonych pisarzy", którzy ośmielili się być innego zdania niż znakomita skądinąd pisarka Maria Dąbrowska.

Pan profesor wykłada i wbija w nasze tępe głowy, że Maria Dąbrowska zawsze i wszędzie musi mieć rację, ponieważ jest Marią Dąbrowską, a kto uważa inaczej, nie przejdzie do następnej klasy. Poco właściwie w takim razie organizować Zjazdy Literatów? Niech najlepiej pani Dąbrowska ustali co i jak pan Miller wyłoży nam to ex cathedra, po tym przeegzaminuje i wyda odpowiednie cenzurki.

Jako jeden z powodów dla których trzeba milczeć gdy Maria Dąbrowska feruje literackie i światopoglądowe wyroki, podaje pan Miller ten, że „była autorką radykalnego „Rozdroża", domagającego się reformy rolnej, wówczas gdy jej dzisiejsi mentorzy nawet jeszcze nie ząbkowali". Narażając się na zapisanie do dziennika, zwracam panu profesorowi uwagę, że gdyby nie niektórzy ząbkujący wówczas mentorzy, pani Dąbrowska w dalszym ciągu domagałaby się tej reformy! A może o to właśnie chodzi? Może arsenał ideologiczny autorki „Rozdroża" był nazbyt wątły i na tym „Rozdrożu" się wyczerpał? Już widzę jak za to przypuszczenie stawia mnie pan Miller do kąta

Niedobrze jest gdy pan Miller drukuje swoje mętne i zaprawione goryczą osobistych zawodów wypowiedzi, gorzej gdy inni mętniacy te wypowiedzi komentują.

W tygodniku „Tydzień" dział „Kronika kulturalna" w numerze gwiazdkowym dobry uczeń St. Łatka „wydaje" ostatni wykład pana profesora i w dowód tym większej gorliwości cytuje ni w pięć ni w dziewięć wyjątek ze studium Dąbrowskiej „Zawód literacki jako służba społeczna" oddając jej tym niedźwiedzią przysługę, gdyż cytowany wyjątek szczególnie razi ciemnymi i nieokreślonymi sformułowaniami oraz brakiem odpowiedzialności za słowo. Co ma naprzykład znaczyć, że „Nie wolno trudu pisarza mącić pouczeniami z zakresu obcych mu kategorii.."? Czy to zdanie cokolwiek oznacza, czy raczej nie oznacza nic? Jakie kategorie są dla pisarza obce, a jakie nie? Czy naprzykład jedne są trochę bardziej obce a inne mniej i wogóle o co chodzi?

Albo: „Artysta jest przecie wolny w granicach praw, które ustala sama sztuka, a które są nieodwołalne" Dlaczego?

Jak sztuka ustala prawa i gdzie? I dlaczego sama? A wogóle ta sztuka to właściwie kto taki? Zdawałoby się, że sztukę tworzą ludzie, oni ustalają jej granice i prawa. a nie ona sama się tworzy. Naprzykład pan Miller też ustala pewne prawa dla sztuki i pod karą wyrzucenia ze szkoły każe w nie wierzyć. Nie daj Boże aby one były nieodwołalne.

Pismo „Tydzień" ma wszystkie dane, ażeby stać się pismem pożytecznym i ciekawym wszelako nie jest nim. Brak mu wyraźne go oblicza konsekwentnej polityki kulturalnej. Nie stworzą jej napewno mętne wypowiedzi gorliwych „uczniów z gimnazjum św. Jana Nepomucena. Podobno redakcję „Tygodnia" ma objąć Mitzner. Nie wątpię że postawi pismo na właściwym poziomie i uwolni je od szkolnej atmosfery łatkowo-millerowej.

eds.

Ósme przykazanie

W prasie codziennej ukazały się sprawozdania z konferencji prasowej urządzonej przez Departament Teatralny. Sprawozdania te zawierają przeważnie dane statystyczne oraz informacje na ogół poważniejszych wątpliwości. W jednym z dzienników stołecznych ukazało się innego typu sprawozdanie pod emfatycznym tytułem: „Ludzie teatru stworzyli wielki czyn artystyczny". Wynalazca tego tytułu, podpisujący się (zkm), informuje czytelników, jakoby zebrani krytycy teatralni stwierdzili, „że dotychczasowe osiągnięcia powojenne teatru w Polsce powinny napawać nas dumą. To bowiem, co zdołali stworzyć ludzie teatru, rozpoczynając pracę od zera, jest wielkim i godnym podziwu czynem artystycznym". Jak to ładnie brzmi! Od zera! Nie było scen, nie było kurtyn, nie było aktorów, prawda? Kto się tu zablagował, zgromadzeni krytycy czy raczej obywatel (zkm). Wiadomo, że w teatrach na ogół dzieje się nie najlepiej, że brak reżyserów, brak myśli artystycznej, brak świadomego kierownictwa które odpowiadałoby zadaniom naszych czasów. Poco więc aż tyle blagi? Poto, żeby pogrążyć... Leona Schillera, który właśnie na te braki wskazywał już niejednokrotnie, ostatnio zaś na konferencji prasowej w Łodzi nie pochwalił stosunków i efektów warszawskiego życia teatralnego. Więc obywatel (zkm) donosi:

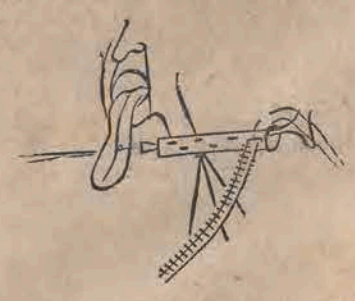

„Zgromadzeni krytycy teatralni jednogłośnie wypowiedzieli się z oburzeniem przeciwko godnym potępienia metodom nieuzasadnionego zwalczania jakiejś sceny przez przedstawiciela innej sceny. Chodzi konkretnie o nietaktowne wystąpienie Leona Schillera w Łodzi".

Trudno uwierzyć, aby krytycy teatralni doszli jednocześnie do takiego stanu ogłupienia. Więc Leon Schiller nie ma prawa wypowiadać swojej opinii o działalności Szyfmana, dlatego, że między innymi Leon Schiller jest dyrektorem dwóch teatrów w Łodzi? Nie, obywatelu (zkm), Schiller ma nie tylko prawo, ale i obowiązek moralny, mówić, co sądzi o życiu teatralnym w kraju. Zresztą w tym swoim sądzie nie jest osamotniony, to samo myśli każdy człowiek postępu. Są naturalnie czynniki, które ze względów politycznych wolałyby ten głos zagłuszyć. Dlatego też w „Gazecie Ludowej" ukazała się prowokacyjna informacja o tym, jakoby w Łodzi nazwano gospodarstwo warszawskie pana Szyfmana „śmietnikiem". Pan Szyfman wziął to na wiarę i użalił się na konferencji w ministerstwie, że za ostrych słów używa się w Łodzi. Pan Szyfman zresztą jest za starym szpakiem, aby kwestionować w wypowiedziach Schillera coś więcej ponad prowokacyjne terminy, zamieszczone w „gazecie Ludowej". Ot i cały incydent. Na konferencji prasowej żaden krytyk teatralny nie zajmował się tą sprawą, nikt się nie wypowiadał, obywatel (zkm) poprostu wszystko zełgał, dorzucając nową prowokację w ślad za „Gazetą Ludową" dla tych samych celów politycznych.

Bo co najdziwniejsze i co nas skłania do zajmowanie się łgarstwami obywatela (zkm), cały ten elaborat ukazał się nie w „Gazecie Ludowej", ale ...w „Rzeczpospolitej" (Nr. 352).

Jak to wytłumaczyć?

Zdarza się, że wesz z jednej redakcji zawędruje niepostrzeżenie do drugiej. Obywatelu (zkm), niech się pan wykąpie i zmieni bieliznę. I niech się pan nie tłumaczy, że pan był pijany i niecbecny na konferencji. Pan jest jeszcze młody, niech się pan oduczy kłamać i uprawiać mimochodem drobną, ale łobuzerską robotę polityczną. **rkm.**

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2. D — 09769